

SZTURM

miesięcznik narodowo-radykalny nr 40/2018 (1) ISSN 2450-5439



Szturm – miesięcznik narodowo-radykalny, nr 40/2018 (1)

[Michał Walkowski – „Rozważne przekraczanie”](#)

[Adam Busse – „Izrael – wróg \(nie sojusznik\) Cywilizacji Łacińskiej”](#)

[Grzegorz Ćwik – „Metapolityka i nacjonalizm, czyli co jest naszym celem?”](#)

[Miłosz Jezierski – „Wywiad z przedstawicielami Nordisk Ungdom”](#)

[Tomasz Kosiński – „Nulla crux, nulla corona” – Florian Geyer, dziedzictwo i mit obrońcy niemieckich chłopów”](#)

[Patryk Płokita – „Stanisław Werner – bojowiec radomskiej Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej \(1888-1906\)”](#)

[Kacper Sikora – „Imperializm”](#)

[Michał Szymański – „Posła Winnickiego walka z nacjonalizmem”](#)

[Antisocial Zine – „Legitima Violence – Defends \(2017\)”](#)

[Antisocial Zine – „Moshpit – An Eternal Torch Can Light a Million”](#)

[Otto Auslegen – „O współczesnej sztuce nacjonalistycznej słów kilka”](#)

[Paweł Doliński – „Stawiajmy na przedsiębiorstwa państwowe!”](#)

[Michał Karpiński – „Kamikaze – samobójcze ataki, duma i poświęcenie”](#)

[Bartłomiej Madej – „Duce, prowadź do szturm!”](#)

[Jarosław Ostrogniew – „Memy, metapolityka i wojna tajemna”](#)

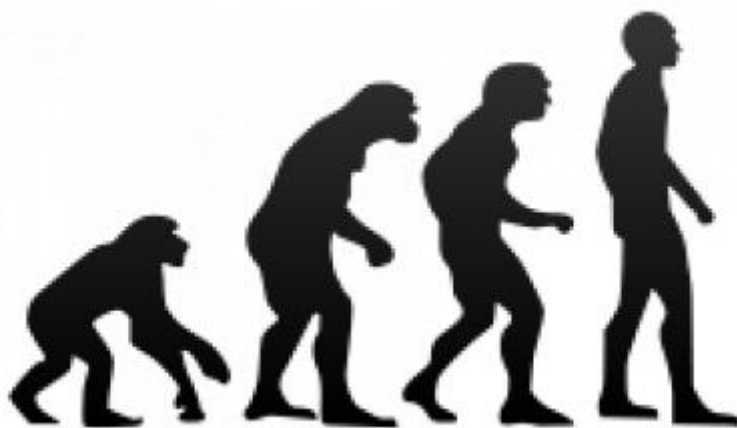
[Mariusz Patey – „Wokół akcji „Wisła”](#)

[Socjalnacionalista – „Rzecz o polityce społecznej”](#)

Miłosz Tamulewicz – „Czy grozi nam kryzys grecki?”

Johan Trichet – „Dzień Niepodległości w Warszawie –
podróżnik między światami”

Michał Walkowski – „Rozważne przekraczanie”



Wydaje się, że w życiu jednostek ludzkich niezmiernie ważną rolę odgrywa czynnik, który odczytują one jako swoje powołanie. Ten termin można zastąpić co najmniej kilkoma innymi. Należą do nich elementy takie jak „przeznaczenie”, „bycie predestynowanym” lub „misja”. Są to kwestie znacznie głębiej wnikające w odmęty naszej istoty jednostkowej, niż samodzielnie ustalane cele. W dominujących religiach i systemach filozoficznych je zastępujących bodaj zawsze jest miejsce dla tego rodzaju czynników. Ta obecność jest nieprzypadkowa. „Systemy usensawiające” wydają się być prawdziwe tylko wtedy, kiedy działają. Kiedy rzeczywiście – zależnie od swego charakteru – budują poczucie sensu naszego istnienia, kiedy są skuteczne w praktyce, czy kiedy nas przekonują lub przyczyniają się do naszego lepszego stanu bytowego. Lubujemy się w nich. Wojujący ateista po tak sprytnym wprowadzeniu rozpocząłby zapewne kilka salw krytyki wobec religii (szczególnie chrześcijańskiej) i innych systemów, które rzekomo nas ogłupiają. Oszczędzę sobie jednak tego, bo ani ze mnie

ateusz, ani apologeta beznadziei. Pozwolę sobie jednak na wbicie drobnej szpilki w nasze „usensawianie”. Filozoficznym truizmem stało się stwierdzenie, że nie ma dowodów na istnienie Boga, duszy, ale nie sposób tych konceptów obalić. W związku z tym należy pamiętać, że nie rozpatrujemy ani kwestii boskich, ani metafizycznych jako pewniki. Niemniej – trzeba brać pod uwagę fakt, że nie ma nawet tutaj takiej potrzeby. Podobnie jest przecież w przypadku wszelkich ideologii. Nacjonalizm nie jest tutaj wyjątkiem. Nie można jednak w nieskończoność brnąć w podważanie świadectw zmysłów, rozumu, intuicji, czy nawet wiary. Są to władze ludzkie, które – o ile istnieją – zawodzą, ale również uobecniają się w naszym uposażeniu i wydają się być elementami niezbędnymi do funkcjonowania osobowego. Wszystkie poruszone dotychczas kwestie mogą skłonić nas do zadania pytania, które pójdzie dalej niż kilka pierwszych zdań tego tekstu. To pytanie o przeznaczenie rodzaju ludzkiego. Czy jest zasadne? Na to i kilka innych pytań będzie odpowiadała dalsza część artykułu.

Podjęcie problemu przyszłości ludzkości wydaje się być zasadne. Dlaczego? Nie tylko ze względu na powszechność zajmowania się tym zagadnieniem, ale przede wszystkim przez wzgląd na jego wagę. Istotność tego problemu wynika z co najmniej dwóch czynników. Pierwszy odnosi się do praktycznej korzyści z przyjęcia postawy „bycia mądrym przed szkodą”. Przewidywalność powinna być przyjacielem każdego człowieka. W

polskim środowisku nacjonalistycznym utarło się powiedzenie głoszące, że Polak powinien być mądry przed szkodą. Taka postawa prowadzi może do przewidzenia negatywnych konsekwencji podejmowanych działań i – tym samym – uniknięcie ich, uniknięcie klęski. Bazować powinna ona na doświadczeniach naszych przodków, ale również na rozumowaniach prognostycznych i probabilistycznych. Drugim powodem zasadności podejmowania problematyki naszego ludzkiego powołania jest jego teoretyczna głębia a równocześnie także atrakcyjność. Atrakcyjność wynika przede wszystkim z owej głębi. Natomiast głębię wiązać należy z faktem, iż pytania o przyszłość ludzkości przenikają wszystkie kultury i cywilizacje. Te wielkie pytania dotyczą kwestii takich jak nieśmiertelność, zagłada, cel i sens istnienia człowieka. Natomiast tego czynnika nie można utożsamiać ściśle z powszechnością podejmowania współcześnie takiej problematyki, o której to popularności wspominałem. Przede wszystkim przez wzgląd na to, że mowa tutaj o istocie kulturowej, światopoglądowej, filozoficznej, ideologicznej i intelektualnej refleksji. Jest znaczna różnica między aspektem istotowym a społeczną nośnością danego zagadnienia. Wraz z próbą odpowiedzi na pytanie o zasadność podejmowania kwestii przeznaczenia rodzaju ludzkiego warto byłoby wskazać rolę ideologii nacjonalistycznej w tym właśnie wątku. O dziwo – jest, a raczej powinna ona być ważna nie tylko dla nacjonalistów. Dlaczego? Nacjonalizm możemy odczytywać na wiele różnych sposobów. Rzecz jasna – mogą one

nawet stać ze sobą w sprzeczności. Na łamach „Szturmu” została wypracowana całkiem spójna jego wizja. Ona wciąż się kształtuje, ale już w tej chwili można znaleźć wiele wspólnych mianowników w tokach rozumowań wielu autorów publikujących w naszym piśmie. Wracając jednak do sedna sprawy – ów nacjonalizm postrzegany (równocześnie) jako ideologia, sposób życia i narracja intelektualna jest wyjątkowo interesującą propozycją, ponieważ stara się mniej lub bardziej wyjaśniać świat dookoła nas oraz nas samych. Nacjonalizm szturmowy w swoim paneuropeizmie i totalności ideologicznej (odnosi się ona w głównej mierze do faktu, iż wedle nas idea przenikać powinna każdy aspekt życia człowieka – zarówno w wymiarze jednostkowym, jak i społecznym) stoi również na pozycjach antyglobalistycznych i sprzeciwiających się obecnemu kształtowi Unii Europejskiej, jak i sytuacji w samej Europie. Kluczem do zrozumienia tej specyficznej i oryginalnej postawy jest pojęcie koegzystencji, która – wbrew pozorom – nie wyklucza fundamentu troski o dobro własnego narodu. Stanowi ono dla nas punkt wyjścia przy refleksji nad geopolityką. Koegzystencja jest postawą w stosunkach międzynarodowych, która charakteryzuje się pochwałą współistnienia obok siebie wspólnot narodowych, których interesy oraz relacje etniczno-kulturowe nie stoją ze sobą w sprzeczności. Jak widać – to pojęcie nie jest więc jakąś mrzonką o międzynarodówce nacjonalistycznej, którą chcieliby widzieć w nim niektórzy nasi wrogowie. Zawiera ono w sobie ponadto

antyszowinizm, który także przystaje do serwowanych w ramach nacjonalizmu szturmowego idei. Nasza postawa jest zatem ideologią, która może stawić czoła intelektualnemu brudowi, który jest wprowadzany przez dyskurs skrajnego materializmu (zarówno w wymiarze ontologicznym, jak i przełożeniu na społeczny konsumpcjonizm i kapitalizm), marksizmu kulturowego oraz teorii postmodernistycznych. Dzieje się tak, ponieważ nacjonalizm w wydaniu szturmowym przenika – jak wspomniałem – każdą sferę życia człowieka. W związku z tym zarówno przeciwstawia się postrzeganiu świata li tylko jako jednowymiarowy przypadek, jednowymiarowy traf, które cechuje wielu współczesnych materialistów, jak i spoglądaniu na świat przez czerwone okulary marksistów (cechujących się hipokrytyczną próbą zaprowadzenia dyktatury poprawności politycznej oraz dwulicowym podejściem związanym z ubieraniem obrzydliwych idei – przede wszystkim komunistycznych – w okowy lepiej brzmiących pojęć, czego przykładem może być koncepcja sprawiedliwości społecznej), czy także koncepcji ponowoczesnej papki oraz również charakterystycznemu dla postmodernizmu, rzekomemu „końcu wielkich narracji”. Żadna z powyższych domen współczesnej, tak zwanej nowej lewicy nie jest do pogodzenia z porządkiem nacjonalistycznym w naszym wydaniu. Dzieje się tak przede wszystkim z uwagi na fakt, iż za nacjonalizmem idą swoiście pojęte idee tradycjonalizmu, bezkompromisowego, narodowego radykalizmu oraz

jasnego opowiadania się po stronie olbrzymiej wagi narracji w życiu indywidualnym, ale i społecznym człowieka. I tak kolejno: tradycjonalizm jest alternatywą dla materializmu, narodowy radykalizm dla marksizmu kulturowego, natomiast idea narracji dla postmodernizmu. Pierwszy z elementów dotyczy – jak już zostało wspomniane – aspektu ontologicznego, ale również ekonomicznego. Oba te przypadki wynikają z podobnych pobudek i są oparte na przekonaniu – zawierającym się w tradycjonalizmie – o tym, że człowiek jest istotą, której nie da się zamknąć w obrębie wyłącznie cielesnych, fizycznych, materialnych procesów. Narodowy radykalizm z kolei nie uznaje kompromisów, nie daje sobie zamknąć ust tylko ze względu na lepszy wizerunek, a także nie fałszuje pojęć na swoją korzyść. Idea narracji natomiast świetnie zastępuje postmodernistyczne przeświadczenie o tym, że nadszedł kres religii, wielkich ideałów, cnót i wartości. W jaki sposób? Jest świadomą identyfikacją z narracją serwowaną w obrębie danej ideologii, czy innego rodzaju systemu. Sama treść danej narracji – o ile nie koliduje ze zdrowym rozsądkiem, logiką, czy innego rodzaju racjonalnymi elementami – nie jest tutaj najistotniejsza. Ważna jest świadomość. Narracja jest wyborem. Rzecz jasna – podlegającym wartościowaniu. Od koncepcji poprawności politycznej i innych wytworów marksizmu kulturowego, które zakładają narzucanie pewnych sposobów rozumienia, odróżnia ją zachowanie świadomości oraz jasna deklaracja, iż są systemy, ideologie, narracje

lepsze i gorsze. Już dzisiaj element świadomościowy, czy – inaczej rzecz ujmując – element niebycia oszukiwanym jest często „towarem” deficytowym. Informacja stała się bowiem „towarem”, który – ze względu na wiele niesprzyjających okoliczności obecnych w systemie demoliberalnym – podlega wymianie, bywa zgubna, a jej prędkość niszczycielska może być równa kreacyjnej. Przyszłość ludzkości w dużej mierze zależy właśnie od niej, a na pewno od tego, jak dalej będzie traktowana.

Literatura science-fiction dostarcza nam wielu wizji tego, jak może skończyć lub dalej się rozwijać człowiek. Warto wspomnieć, że wielu z nich nie można odmówić realizmu. Są na tyle wpływowe, że mocno przyczyniły się do zmian w dyskursie kulturalnym, a niekiedy nawet naukowym. Dwie główne to oczywiście wizja apokalipsy, tego, co nastąpi po niej oraz posthumanizmu, który poprzedzać ma doba transhumanizmu. Dlaczego trudno zaprzeczyć obu tym wariantom i czy wobec nich są jakiegokolwiek alternatywy? Jeśli potraktujemy koncepcję apokalipsy jako opcję, która może zakończyć żywot milionów ludzi, to z całą pewnością jest ona możliwa. Nie mowa – rzecz jasna – wyłącznie o wariacie ataku kosmitów. W dobie tak wielu ryzykownych eksperymentów oraz coraz to większych zasobów broni masowego rażenia głupcem jest ten, kto wierzy, że obecny (już w tej chwili napięty) status quo nie zmieni się nigdy. W przypadku posthumanizmu również nie sposób zaprzeczyć wysokiemu

prawdopodobieństwu proponowanej przez ten nurt wizji przyszłości człowieka. Pisałem już w swoich artykułach o transhumanizmie. On się dzieje, czy tego chcemy, czy nie. Naszą rolą jest w tym momencie wytworzenie narracji wobec niego, ustosunkowanie się do problemów, które potencjalnie może on stworzyć i które stwarza już w tym momencie. Ważne jest również, żeby nie postrzegać go jednoznacznie negatywnie, bo faktycznie jego następstwa w wielu kwestiach mogą ludziom pomóc. Można było o tym wyczytać także z tekstu Rocha Witczaka w „Polityce Narodowej”.

Pytanie o przyszłość ludzkości jest zatem nie tylko zasadne, ale wręcz obowiązkowe. W naszych rękach trzymamy człowieczeństwo. O ile z losem, czy z trafem niekiedy trudno wygrać, tak w byciu człowiekiem nie ma miejsca na przypadek. Tytuł tego tekstu powinien teraz stać się jaśniejszy – dotyczy bowiem przekraczania człowieka.

Michał Walkowski

Adam Busse – „Izrael – wróg (nie sojusznik) Cywilizacji Łacińskiej”



Konflikt izraelsko-palestyński, zaangażowanie pośrednie bądź bezpośrednie stron wojennych wrogich Osi Oporu na Bliskim Wschodzie, wpływ syjonistycznego lobby na politykę światową, narzucanie własnej wizji historii w imię promowania własnej „polityki historycznej” – to tylko niektóre pola działalności państwa Izrael. Truizmem będzie stwierdzenie, że od wielu lat nie ustaje kampania propagandowa w jego obronie. Izrael przez środowiska protestanckie i neokonserwatywną, proamerykańską prawicę jest przedstawiany jako „obrońca cywilizacji zachodniej na Bliskim Wschodzie”, „bastion hamujący imigrancką ekspansję na Europę”, „państwo bliskie z Polską przez związki kulturalne i historyczne” czy gwarant stabilizacji polityczno-militarnej regionu. Polska prawica również od wielu lat sukcesywnie dołącza do tego chóru, czego znakiem są obecność

polityków obecnej partii rządzącej na uroczystościach zapalenia świec chanukowych oraz szabasowych kolacjach i sukcesywne urabianie elektoratu prawicy prorządowej filosemicką propagandą. To szczególnie nasiliło się po 11 listopada ubiegłego roku. Promowanie na łamach prawicowych mediów tajemniczego lobbysty Jonnego Danielsa, wywiad z żydowskim studentem Samem Rubinem czy ostatni wywód Tomasza Terlikowskiego na łamach „Do Rzeczy”, w których broni decyzji Donalda Trumpa o przeniesieniu stolicy Izraela do Jerozolimy oraz próbuje przekonać, iż Święte Miasto było od zawsze stolicą państwa żydowskiego.

Mój tekst będzie miał na celu odpowiedzenie na pytanie, dlaczego Izrael jest wrogiem, a nie sojusznikiem Cywilizacji Łacińskiej i będzie stanowił swego rodzaju polemikę z tezami głoszonymi przez rodzimych neokonserwatystów promujących tego typu ludzi. Zaznaczę od razu, że ów tekst ma charakter polemiki na argumenty, nie personalnych ataków. Postaram się nakreślić stosunek współczesnego judaizmu do chrześcijaństwa, sytuację chrześcijan w Izraelu oraz zmierzyć się z pokutującymi, wyżej wymienionymi mitami na temat Izraela.

Czy chrześcijanie i wyznawcy judaizmu wierzą w tego samego Boga? Odpowiedź musi być negatywna. Ks. Francois Knittel z Bractwa św. Piusa X wskazuje owszem, że judaizm biblijny (starotestamentalny) przygotował

świat na przyjście Jezusa Chrystusa i w tym celu Bóg zachował lud Izraela w monoteizmie. Jednak *„Ewangelia objawia nam, że w Bogu istnieją nieoczekiwane bogactwa: troistość Osób. Tajemnica Trójcy Świętej stanowi zamierzone przez Boga rozwinięcie i realizację tajemnicy Jego jedności.”* Bóg nie dał się poznać jako Trójca ludowi, ale nie przestaje On być Bogiem chrześcijan przez ten fakt. Choćby dlatego, że Biblia *„nie naucza, że Bóg nie jest Trójcą; a po wtóre dlatego, że objawienie zawarte w Biblii, poprzez łatwo zauważalną pedagogikę biblijną zyskuje ostateczne wypełnienie w objawieniu chrześcijańskim.”* Nie do pogodzenia są nauki chrześcijan i żydów o Bogu. Sprzeczność między tymi religiami dotyczy osoby Jezusa Chrystusa. Czy jest On Synem Bożym i Bogiem? Ks. Knittel wyciągnął wniosek, że nie. Żydzi odrzucają boskość Chrystusa i to stanowi spoiwo wiążące dzisiejszych żydów z tymi, którzy skazali Zbawiciela na śmierć.

Współczesny judaizm nie jest religią Starego Testamentu. Na gruncie biblijnego Izraela bowiem wyrosły dwie religie – chrześcijaństwo i judaizm rabiniczny. Paradoks rozwinięcia się nurtu rabinicznego w judaizmie niesie za sobą konsekwencje natury teologicznej – obie religie polegają na Starym Testamencie i nie mogą się bez niego obyć w równym stopniu. Trzeba wobec tego zaznaczyć, że dziedzictwo biblijne to w sporej mierze dziedzictwo chrześcijańskie, a bezwarunkowe uzurpowanie przez żydów prawa do starszeństwa religijnego doprowadza do wydziedziczenia

chrześcijan z nauk starotestamentalnych, do których dziedzictwa mamy prawo. Od kilku dekad utarło się przekonanie, że współczesny judaizm jest religią starotestamentalną i ta formuła została przyjęta. Jest to skutek błędu teologicznego, który zafałszował i wypaczył podstawy teologiczne na linii chrześcijaństwo – judaizm. Judaizm rabiniczny, a więc taki jaki współcześnie znamy, ma mało wspólnego z religią biblijną (judaizmem biblijnym). Powstał on w I wieku n.e. z inicjatywy niewielkiej grupy ludzi, którzy sprzeciwili się chrześcijaństwu wypierającemu judaizm biblijny i stającemu się wiarą milionów. Judaizm rabiniczny stworzył swoje własne księgi: Misznę i Talmud, tak jak chrześcijaństwo stworzyło Nowy Testament. Wyznawcy judaizmu w wersji rabinicznej nie są ludźmi wiernymi „starej religii”, ponieważ judaizm biblijny z jego ofiarami, Świątynią Jerozolimską, rytualną czystością, kapłanami i dziesięcinami zniknął dwa tysiące lat temu. Judaizm rabiniczny jest nową wiarą, wrogo nastawioną do chrześcijaństwa, co można zaobserwować po dewastacjach, szykanach czy wszelkich formach ponizania chrześcijan przez żydów.

Po stronie chrześcijańskiej spotyka się twierdzenie, że żydzi są naszymi „starszymi braćmi w wierze”, co jest nieprawdą. Paradoksalnie po stronie żydowskiej nie mamy do czynienia ze sformułowaniami o tym, że wyznawcy Chrystusa są dla żydów „młodszyimi braćmi w wierze”. Powściągliwość wobec tego wynika z nieprzychylnego nastawienia judaizmu do chrześcijan mieszkających w Izraelu.

Jak obecnie przedstawia się sytuacja chrześcijan w Izraelu? Daleka jest ona od marzeń i bajek o państwie będącym ostoją tolerancji na Bliskim Wschodzie. Mnie wystarczy wspomnieć o tym, iż wiele tysięcy palestyńskich i arabskich chrześcijan w 1948 roku padło ofiarami polityki tworzącego się państwa żydowskiego (o czym więcej pisałem w poprzednim numerze „Szturmu”). W roku 1948 zostało zmuszonych do ucieczki bądź emigracji 750 tysięcy Palestyńczyków, w tym niemal połowa wszystkich chrześcijan mieszkających dotychczas w Ziemi Świętej. Ok. 10% zamordowanych przez syjonistyczne bojówki w 1948 roku mieszkańców Palestyny było chrześcijanami. W wyniku żydowskiej kolonizacji najbardziej ucierpiała chrześcijańska dzielnica Jerozolimy. Lokalne wspólnoty chrześcijańskie od wielu lat zwracają uwagę na skuteczne utrudnianie pielgrzymom przez Izrael dostępu do najważniejszych miejsc świętych w Ziemi Świętej, m.in. poprzez mnożenie się punktów kontrolnych prowadzących do miejsc kultu religijnego. Te punkty zwłaszcza w okresie świątecznym stają się miejscami nie do przebycia przez rzesze pątników. Ponad trzy lata temu palestyńscy chrześcijanie z Jerozolimy złożyli pozew przeciwko izraelskiej policji, która miała utrudniać wiernym dostęp do Bazyliki Grobu Pańskiego w okresie Świąt Wielkanocnych. Dodatkowo chrześcijanie pochodzenia arabskiego i palestyńskiego mogą odwiedzać miejsca święte jedynie za okazaniem

specjalnych przepustek, które są limitowane i nie trafiają właściwie do członków danej rodziny, która chciała udać się na pielgrzymkę.

Na problem ten zwracali uwagę siedem lat temu autorzy dokumentu „Instrumentum Laboris” (za pontyfikatu Ojca Świętego Benedykta XVI), pisząc m.in. *„Okupacja przez Izrael terytoriów palestyńskich utrudnia życie ze względu na ograniczenie swobody poruszania się, ekonomii oraz życia społecznego i religijnego.”* Zaznaczono również, że *„niektóre ugrupowania fundamentalistów chrześcijańskich powołując się na Pismo Święte usprawiedliwiają niesprawiedliwość polityczną, narzuconą Palestyńczykom, co jeszcze bardziej utrudnia położenie arabskich chrześcijan.”* W dokumencie tym zwrócono uwagę na utrudnianie przez izraelskie wojsko dostępu do miejsc kultu religijnego dla chrześcijan oraz na to, że polityka władz izraelskich prowadzi do izolacji wyznawców Chrystusa, którzy powinni być pełnoprawnymi obywatelami państwa. Bardzo uciążliwy jest status prawny chrześcijańskiej ludności Izraela. Ponieważ to państwo jako syjonistyczne ma zachować żydowski charakter, stąd chrześcijanie nie posiadają często izraelskiego paszportu bądź jest on traktowany zupełnie przedmiotowo przez struktury państwa. Mieszkańcy Izraela nieżydowskiego pochodzenia w związku z tym muszą się liczyć z dyskryminacją, która przybiera formę obcinania funduszy na działalność oświatową, problemów ze znalezieniem pracy, braku dostępu do mieszkań, marginalizacji politycznej, nierównego rozłożenia usług

komunalnych oraz szykan ze strony służb policyjnych i wojskowych. W zakresie prawa w chrześcijan najbardziej uderza ograniczenie możliwości finansowania szkoły dla wyznawców Chrystusa poprzez ustalenie górnego limitu czesnego dla uczniów szkół w 2015 roku. To posunięcie izraelskiego ministerstwa edukacji doprowadziło do sytuacji, w której wiele placówek nie mogło znaleźć alternatywnych źródeł dofinansowania ich działalności.

Niewesoła jest sytuacja własnościowa chrześcijańskich Kościołów w Izraelu. We wrześniu 2017 roku przedstawiciele 13 Kościołów (w tym kustosz Ziemi Świętej, o. Francesco Pattona i administrator patriarchatu łacińskiego Jerozolimy, abp Pierbattista Pizzaballa) wydali wspólne oświadczenie, w którym skrytykowali łamanie przez władze w Tel Awiwie umów o ich obecności na Ziemi Świętej. Wówczas trzy firmy należące do żydowskich osadników przejęły dwa hotele znajdujące się w pobliżu Bramy Jafy na Starym Mieście w Jerozolimie. Pierwotnie te hotele były w posiadaniu greko-prawosławnego patriarchatu Jerozolimy. Proces ten doszedł do skutku na mocy decyzji izraelskiego sądu. Izraelski parlament ponadto przygotowywał nową ustawę mającą znacjonalizować grunty wcześniej należące do Kościołów chrześcijańskich, które potem zostały sprzedane prywatnym inwestorom, co znacząco ograniczy prawo chrześcijan do dysponowania ich własnością. Tym samym żydowskie osadnictwo bardzo mocno uderza w dotychczasowy status religijny Świętego Miasta. Na początku stycznia br. prawosławny patriarcha

Jerozolimy Teofil III informował o przejmowaniu przez osadników żydowskich nieruchomości w Dzielnicy Chrześcijańskiej Jerozolimy, co prowadzi do wypędzania wyznawców Chrystusa z ich własnej dzielnicy.

Oczywiście działania wymierzone w Palestyńczyków i arabskich chrześcijan nie są domeną państwa Izrael i jego polityków, ale i syjonistycznych ekstremistów, którzy mogą swobodnie wykonywać „brudną robotę”. W ciągu kilku ostatnich lat doszło do paru podpaień lub obrzucano świątynie koktajlami Mołotowa, na murach obiektów chrześcijańskich pojawiają się napisy obelżywe wobec Jezusa Chrystusa, Matki Boskiej i wyśmiewające chrześcijan. Dwa lata temu były patriarcha Jerozolimy, Michel Sabbah oskarżył Tel Awiw o brak reakcji na bandyckie działania żydowskich ekstremistów. W jego opinii władze izraelskie poza „wyrazami ubolewania” nie zrobiły praktycznie nic, by zapobiec tego typu atakom. Ten ciąg konsekwentnych działań ze strony Tel Awiwu w dalekiej przyszłości może doprowadzić do zaniku obecności chrześcijan na terenie Izraela. Decyzja Donalda Trumpa o przeniesieniu amerykańskiej ambasady do Jerozolimy stanowiła swego rodzaju moment krytyczny, ponieważ jej rezultatem było m.in. pogorszenie się sytuacji chrześcijan w Izraelu. Wyznawcy Chrystusa solidarnie z muzułmańskimi mieszkańcami Ziemi Świętej protestowali przeciwko tej decyzji i zbojkotowali wizytę amerykańskiego wiceprezydenta, Mike’a Pence’a. Te argumenty mogą

dziwić jedynie zapatrzonych w Waszyngton i Tel Awiw wielu neokonserwatystów oraz prawicowców (co ma miejsce również w Polsce).

Pora na zmierzenie się z kilkoma propagandowymi mitami dotyczącymi Izraela, które do opinii publicznej stara się adresować polska, neokonserwatywna prawica:

Mit nr 1: Izrael jest gwarantem stabilizacji Bliskiego Wschodu.

Izrael w żadnym stopniu nie gwarantuje stabilności na Bliskim Wschodzie, ponieważ jest państwem sojuszniczym Stanów Zjednoczonych Ameryki i tym samym wpływa na różne zagrania i zawirowania geopolityczne regionu. Faktem jest, iż izraelskie służby specjalne wspierały działalność rebelianckich i islamistycznych band walczących w Syrii przeciwko rządowi Baszara al-Assada. Niejeden raz syjonistyczne lotnictwo naruszało przestrzeń powietrzną państwa syryjskiego i dokonywało bombardowań lotniczych, których celem były m.in. pozycje syryjskich sił zbrojnych czy oddziałów Hezbollahu. Polityka Izraela wobec narodu palestyńskiego doprowadziła od 1948 roku do exodusu setek tysięcy Arabów i Palestyńczyków z zamieszkanymi przez nich ziem (w tym wielu tysięcy chrześcijan), którzy do dziś znajdują się w obozach dla uchodźców, ulokowanych w sąsiednich krajach arabskich.

Izraelska polityka na Bliskim Wschodzie jest jedną z przyczyn kryzysu imigracyjnego. W 2015 roku wolontariusze izraelskiej organizacji IsraAID pomagali imigrantom dostać się przez granice grecko-turecką i węgiersko-serbską do Europy oraz zaopatrywali ich w żywność, podstawowe produkty i mapy z zaznaczonymi dogodnymi szlakami dotarcia do krajów docelowych. Poza tym Izrael jest omijany szerokim łukiem przez północnoafrykańskich i azjatyckich imigrantów, a państwo żydowskie samo prowadzi antyimigracyjną politykę (paradoksalnie nie spotykając się z powszechnym potępieniem ze strony organizacji na rzecz obrony praw człowieka, które z kolei już tak „wyrozumiały” nie są wobec Polski, Czech, Węgier czy Słowacji jako jedynych krajów europejskich stanowczo sprzeciwiających się przyjmowaniu imigrantów). Sześć lat temu rabin i kierownik jesziwy na Zachodnim Brzegu Jordanu, Baruch Efrati poproszony przez studenta o wyrażenie opinii na temat rosnącej liczby muzułmanów w Europie stwierdził, że *„Żydzi powinni radować się faktem, iż chrześcijańska Europa traci swoją tożsamość, co jest karą za to, co uczynili nam przez setki lat. Nigdy nie wybaczymy chrześcijańskiej Europie wymordowania milionów naszych dzieci, kobiet i starców.”* Rabin określił chrześcijaństwo jako religię bałwochwalczą, nieczystą, skorumpowaną i pełną hipokryzji oraz podsumował swoją wypowiedź stwierdzeniem, że żydzi powinni modlić się o to, by islamizacja Europy nie wyrządziła szkody Izraelowi.

Twierdzenia o Izraelu jako gwarancie stabilizacji Bliskiego Wschodu i inne tego typu tezy należy traktować jako propagandowe zagrywki mające uzasadnić agresywną politykę USA i Izraela na Bliskim Wschodzie, które to państwa mają swoje interesy w regionie i doprowadziły przez nie do stanu wojny endemicznej generującej miliony imigrantów szturmujących bramy Europy.

Mit nr 2: Izrael jest państwem związanym historycznie i kulturowo z Polską.

Kulturowa i historyczna bliskość z Polską jest głównym argumentem mającym przed władzami Izraela deklorować wiele razy walkę z wszelkimi przejawami antysemityzmu. Pod koniec listopada 2016 roku ówczesna premier Beata Szydło udała się do Izraela na polsko-izraelskie konsultacje międzyrządowe. Powiedziała wówczas m.in., że Polskę i Izrael łączy bliskość kulturowa i historyczna przez pryzmat doświadczeń drugiej wojny światowej. Tak ówczesny, jak i pozostałe rządy Prawa i Sprawiedliwości (w latach 2005-2007 oraz od 2015 roku rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego), kontynuują swoją filosemicką linię polityczną. Dwa lata temu Jarosław Kaczyński stwierdził, że Izrael jest „przyczółkiem naszej kultury” na Bliskim Wschodzie, a krytyka Izraela i jego zbrodniczej polityki jest antysemityzmem.

Moim skromnym zdaniem Polska i Izrael nie są w żaden sposób związane historycznie i kulturowo. Po pierwsze narody polski i żydowski są odrębne od siebie cywilizacyjnie – Polska należy do kręgu Cywilizacji Łacińskiej, Izrael – jak wcześniej wspomniałem – Cywilizacji Żydowskiej. Po drugie – jak wskazywał w swoich badaniach nieżyjący już polski historyk, dr Dariusz Ratajczak – przeważająca część Żydów na ziemiach polskich była niechętna, jeśli nie wrogo nastawiona do polskiej walki o niepodległość, a niechęć *„przeważającej części Żydów do polskich dążeń niepodległościowych, pogłębiona nadto pojawieniem się naturalnej i zrozumiałej reakcji w postaci obozu wszechpolskiego, tego prawdziwego budziela polskości w szerokich masach ludowych, skutkuje określonymi akcjami politycznymi, deklaracjami i zakulisowymi naciskami na forum międzynarodowym. (...). Wściekła propaganda antypolska nasila się podczas Wielkiej Wojny i po jej zakończeniu. Światowe żydostwo sprzeciwia się idei powstania niepodległej Rzeczypospolitej, a gdy okazuje się to niemożliwe, zakulisowo działa na rzecz nieuszczipiania niemieckiego stanu posiadania w byłym zaborze pruskim. Oskarża wreszcie Polaków o organizowanie antyżydowskich pogromów, nie dbając przy tym o realia geograficzne i zwykłą ludzką uczciwość.”* Dalej, w czasie wojny polsko-bolszewickiej i agresji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 roku Żydzi witali wkraczające oddziały Armii Czerwonej i nawiązywali współpracę poprzez tworzenie własnych milicji, które są

odpowiedzialne m.in. za ostrzeliwanie polskiej ludności cywilnej w czasie obrony Grodna czy aktywną pomoc Sowiecom w organizacji kilku fal deportacji polskiej ludności do 1941 roku. Milicjanci żydowscy pomagali wskazując NKWD miejsca pobytu osób przeznaczonych do wywózki, konwojowali złapanych na ulicach oraz tropili polskich urzędników i funkcjonariuszy państwowych.

Faktem jest również to, że Żydzi obsadzali 50% stanowisk kierowniczych Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i 18,7% ogółu pracowników tej zbrodniczej instytucji (później odsetek ten wzrósł do 37%), co świadczy o ich udziale w walce z polskim podziemiem niepodległościowym po II wojnie światowej. Innymi wydarzeniami w historii Polski pokazującymi odpowiedzialność Żydów za zbrodnie na Polakach są masakry polskich wsi Naliboki i Koniuchy. 8 maja 1943 i 29 stycznia 1944 roku sowiecka i żydowska partyzantka wymordowały ok. 130 i 38 polskich cywili kolejno w tych wioskach. Paradoksem historii jest fakt, iż w 2008 roku w Stanach Zjednoczonych został nakręcony film „Opór” z Danielem Craigiem w roli głównej, opowiadający o partyzantach Tewje Bielskiego i gloryfikujący ich działalność. W tym filmie jednak nie pokazano prawdziwej strony ich działań, tj. rabunków, gwałtów i mordów, w tym właśnie wymienionych wyżej zbrodni na Polakach.

Państwo Izrael i syjonistyczne lobby stara się zrzucić odium odpowiedzialności za Holokaust na Polskę. Argumentuje to tym, iż obozy koncentracyjne, w których zginęło najwięcej Żydów, znajdowały się na terenie Polski, stąd po wojnie ukuto termin „polskie obozy koncentracyjne”. Następną sprawą są roszczenia majątkowe wobec państwa polskiego po II wojnie światowej. Światowa Organizacja Restytucji Mienia Żydowskiego domaga się od nas wypłaty odszkodowań za utratę mienia o wysokości 65 miliardów dolarów USA pomimo faktu, że nie ma żyjących spadkobierców głównych dóbr. Podstawą do wysunięcia roszczeń jest teza, że to Polacy są w posiadaniu mienia żydowskiego, które miało stać się naszą własnością wskutek wymordowania przez niemiecki aparat terroru ich posiadaczy. Natomiast ci, którzy zgłaszają roszczenia wobec nas, nie są w stanie bądź nie chcą przyjąć do wiadomości paru faktów historycznych, które nijak się mają do ich roszczeń wobec Warszawy. Po pierwsze – odpowiedzialność za utratę mienia ponoszą Niemcy, których władze okupacyjne po utworzeniu Generalnej Guberni zaczęły wdrażać na masową skalę plan konfiskaty mienia obywateli II RP, co zostało usankcjonowane ustawowo przez Berlin. Zatem to władze niemieckie powinny wypłacić Żydom odszkodowania. Po drugie – wszelkie konfiskaty były przeprowadzane na podstawie rozporządzeń z 15 stycznia i 17 sierpnia 1940 roku, dotyczących również żydowskich majątków, a 21 stycznia 1940 roku wydano ordynację sekwestracyjną uprawniającą w

szerokim zakresie niemiecką administrację, policję i SS do zajęcia majątków należących do Polaków i Żydów. Po trzecie – w 1960 roku Polska uregulowała sprawę roszczeń żydowskich, zawierając układ z władzami Stanów Zjednoczonych. Na jego podstawie Waszyngton zrzekł się prawa do reprezentowania swoich obywateli w sprawie powojennych odszkodowań oraz wziął na siebie obowiązek dystrybucji pieniędzy (o ówczesnej sumie ok. 40 mln dolarów USA) wśród Żydów, którzy utracili majątki. Waszyngton musi mieć więc bardzo krótką pamięć, skoro dziś lobbuje w imieniu syjonistycznej organizacji i łamie tym samym postanowienia układu z 1960 roku. Syjoniści wołają jednak iść konsekwentnie za słowami Izraela Singera, jakie on wypowiedział na kongresie Światowego Kongresu Żydów w Buenos Aires w 1996 roku: *„Jeśli Polska nie zaspokoi żydowskich żądań, będzie publicznie atakowana i upokarzana na forum międzynarodowym.”*

Mit nr 3: Izrael jest „przyczółkiem naszej kultury” na Bliskim Wschodzie i bastionem Europy przed islamem.

W połowie lipca ubiegłego roku premier Izraela, Benjamin Netanjahu wypowiedział słowa, które nie są odosobnione w środowiskach neokonserwatystów wierzących w mit o Izraelu jako bastionie europejskiej cywilizacji. Polityk powiedział, że jego państwo jest jedyną demokracją na

Bliskim Wschodzie i bastionem wartości europejskich „w tym mrocznym okresie”.

Tak aberracyjna teza nie wytrzymuje światła faktów, ponieważ jest daleka od prawdy. Trzeba zacząć od tego, że państwo Izrael jest organizmem obcym cywilizacyjnie dla Europejczyka, bowiem – idąc za ideologią cywilizacji prof. Feliksa Konecznego – ma swoje ugruntowanie w zupełnie innej cywilizacji, cywilizacji żydowskiej. Nonsensem jest tym samym postrzeganie Izraela jako forpoczty Europy w morzu islamu na Bliskim Wschodzie. Chociaż z drugiej strony uznanie Izraela za „bastion cywilizacji zachodniej” może mieć sens jedynie wtedy, gdy uzna się termin „wartości Zachodu” za synonim liberalnej demokracji, instytucji zachodnich praw człowieka i forsowania praw mniejszości seksualnych, co ma faktycznie miejsce w Izraelu. W sierpniu ubiegłego roku ulicami Jerozolimy przeszła parada pederastów, która zgromadziła ponad 20 tysięcy osób. W takim wypadku można by uznać Izrael za przyczółek demoliberalizmu na Bliskim Wschodzie, który przez inne państwa tego regionu, a szczególnie kraje arabskie nigdy jako system polityczny nie zostanie zaakceptowany, zwłaszcza pod auspicjami Izraela i Stanów Zjednoczonych, które są odpowiedzialne za destabilizację Bliskiego Wschodu.

Poza tym, jeśli Izrael jest uważany za „przyczółek naszej kultury” czy „bastion zachodniej cywilizacji” w regionie, to jak neokonserwatyści

wytlumaczą dyskryminację wyznawców Chrystusa w Izraelu? Jak się odniosą do malowania na murach antychrześcijańskich haseł, napadów na chrześcijan, bezczeszczenia cmentarzy i ataków na chrześcijańskie świątynie, zakazu stawiania bożonarodzeniowych choinek czy nieodpowiedzialnej polityki władz ws. komunalnych i obcinaniu przez rząd Netanjahu dotacji dla chrześcijańskich szkół w tym kraju? I dlaczego nie biorą pod uwagę głosu arabskich i palestyńskich chrześcijan, którzy są prześladowani przez izraelskie władze oraz wyrazili wyraźny sprzeciw wobec decyzji Trumpa o przeniesieniu izraelskiej stolicy do Jerozolimy? To są pytania, które warto rozważyć i udzielać na nie odpowiedzi, ale pozostaną one niewygodne dla neokonserwatywnej prawicy, która woli wierzyć we własne mity zamiast podejść do nich krytycznie.

Państwo Izrael nie jest „bastionem cywilizacji zachodniej/europejskiej”, tylko wrogiem Wartości, na których została zbudowana Cywilizacja Łacińska. Nie wiem, na jakiej zasadzie można uznawać budowanie cywilizacji przez syjonistyczne państwo, które powstało na krwi wielu tysięcy Palestyńczyków (zarówno muzułmanów, jak i chrześcijan) i prześladowuje wyznawców Chrystusa we własnym kraju. Chyba, że zacznie się powtarzać neokonserwatywne brednie o tym, że Izrael broni Europy przed islamem, choć są to slogany bez pokrycia, dodatkowo pozbawione

logicznego myślenia. Krytyka filosemickiej linii europejskich i polskich neokonserwatystów oraz polityki izraelskiego państwa nie jest przejawem antysemityzmu, a tylko trzeźwego spojrzenia na ten problem. Bo Prawda obroni się sama i nie można jej zakłamywać bądź przemilczać w imię poprawności politycznej, której od wielu lat ulega również prawica.

Adam Busse

Wybrana bibliografia:

Busse A., *Żydzi i Izrael jako starsi bracia chrześcijan w wierze – fakty i mity*, „3droga.pl”, 12 maja 2015 [dostęp: 13 stycznia 2017].

Hajducki H., *Czy wolno jeszcze nawracać żydów?*, „Zawsze Wierni” 2003, nr 2 (51).

Knittel F., *Czy chrześcijanie, żydzy i muzułmanie wierzą w tego samego Boga?*, „Zawsze Wierni” 2008, nr 8 (111).

Koneczny F., *Cywilizacja Żydowska*, Londyn 1974.

Ratajczak D., *Żydzi a niepodległość Polski*, „Nacjonalista.pl. Dziennik Narodowo-Radykalny”, 3 kwietnia 2017 [dostęp: 13 grudnia 2017].

Vennari J., *Panowanie Chrystusa a nawrócenie żydów*, „Zawsze Wierni” 2007, nr 1 (92).

Ciemężyciel naszej cywilizacji, „Autonom.pl”, 27 grudnia 2017 [dostęp: 13 stycznia 2017].

<https://www.youtube.com/watch?v=TK2J6PwBgSc> – *Czy Chrześcijanie powinni wspierać Izrael?*, dr David Duke (opublikowany 13 czerwca 2011 roku, YouTube).

<https://www.youtube.com/watch?v=hJ971mV279Q> – dr David Duke o szaleństwie tzw. chrześcijańskiego syjonizmu (opublikowany 3 września 2011 roku, YouTube).

Grzegorz Ćwik – „Metapolityka i nacjonalizm, czyli co jest naszym celem?”



Nacjonalizm w Polsce od roku 2010 przeszedł duże przeobrażenia. Najważniejszą zmianą jest przejście z poziomu marginalnego, wręcz subkulturowego nurtu do funkcjonowania właściwie stale w tzw. „mainstreamie”. Teoretycznie wydaje się, że skutek oddziaływania nacjonalizmu na przeciętnych obywateli jest większy i co ważniejsze - stale wzrasta. Nacjonalizm niejako „zadomowił się” w przestrzeni publicznej, można odnieść wrażenie, że ideologia nasza zaczęła żyć trochę własnym życiem. Nawet w parlamencie pojawili się posłowie, którzy kandydowali z „narodowych” list (cudzysłów nieprzypadkowy) i w kampanii używali retoryki jednoznacznie nacjonalistycznej. Z drugiej strony powoli można odnieść wrażenie, że zaczynamy coraz częściej odbijać się od ściany. Nacjonalizm w obecnej formie osiągnął sporo, dalej jednak stoi w gruncie rzeczy w cieniu – nie tylko politycznie, ale także ideologicznie, mentalnie

czy organizacyjnie. Czasy w jakich żyjemy niewątpliwie są pod wieloma względami przełomowe, a nasz świat i Naród stoją przed dużymi wyzwaniami. Stawia to przed nacjonalizmem szereg pytań natury strategicznej i taktycznej.

Wydawałoby się, że pytanie „co jest naszym celem?” to sprawa trywialna. Celem nacjonalizmu jest oczywiście walka o rozwój Narodu i sprzeciw wobec tych czynników, które wpływają na niego negatywnie. Jak jednak cel ten osiągnąć? Jaka droga jest tu najwłaściwsza? Mówimy przy tym o działaniu, którego skutek ma być długotrwały i liczony nie w latach czy kadencjach, ale pokoleniach. I tu pojawia się problem. Teoretycznie każdy sądzi, że wie jaka jest właściwa droga do osiągnięcia jakkolwiek rozumianego „ostatecznego zwycięstwa”, jednak koncepcje te rozpatrywać trzeba przede wszystkim w odniesieniu do konkretnej sytuacji i warunków.

Celem tego tekstu jest odpowiedź właśnie na wspomniane pytanie „co jest naszym celem?”. Wychodzę z założenia, że nacjonalizm w postaci w jakiej do tej pory funkcjonował i na poziomie na jakim był realizowany osiągnął generalnie kres swoich możliwości. Jeśli faktycznie chcemy dalej rozwijać naszą ideologię, odpowiedź na taką prostą kwestię staje się fundamentalna. Odpowiedź na tak postawione pytanie powinna być wyłożeniem kierunku działań i sposobu walki. To jak rozpoznamy cel naszych działań definiuje w gruncie rzeczy jakiego rodzaju aktywizm

będzie naszym motywem przewodnim, jaką przybierzemy formację oraz jakie zasady będą nam przyświecać.

Różne drogi, różne strategie

Oczywiście to nie jest tak, że kwestia tego, jaką drogą powinien podążać nacjonalizm nie istnieje. Wręcz przeciwnie – wydaje się, że temat ten jest całkiem popularny i stosunkowo często poruszany. Generalnie rozwiązania jakie się zazwyczaj podaje, sprowadzić można do 3 koncepcji:

- Obecna formuła funkcjonowania nacjonalizmu jest właściwa, nie należy jej zbyt często zmieniać.
- Nacjonalizm dążyć powinien do obecności na scenie politycznej, a drogą do tego jest próba uzyskania reprezentacji parlamentarnej.
- Nacjonalizm skupiać powinien się na aktywizmie społecznym, działaniach oddolnych, autonomicznych i lokalnych.

Jak wykaże niżej – moim zdaniem żadna z tych dróg nie prowadzi do realizacji celu najważniejszego, czyli do zwycięstwa nacjonalizmu. Jakkolwiek każda z nich zawiera w sobie wartościowy element i przydatne rozwiązania na pewnym etapie, to jednak jeśli chcemy opracowania takiej strategii, która umożliwi (mówiąc górnolotnie) odwrócenie karty dziejowej – te rozwiązania nie są wystarczające. Dlaczego?

„Będzie tak samo, albo i lepiej”

Często można spotkać się z opinią, że obecny *modus operandi* funkcjonowania nacjonalizmu w Polsce jest właściwy i jedyne co należy zmieniać, tu usprawniać ten kierunek. A jak obecnie wygląda nacjonalizm w Polsce? Jest kilka dużych organizacji narodowych, szereg mniejszych, w tym kilka nowych i awangardowych środowisk, mamy jedną partię polityczną (właściwie to mieliśmy – niedawno wykreślono ją z rejestru za niedopełnienie kwestii formalnych). Do tego dochodzi szereg osób niezrzeszonych, ale czynnie działających. Ile to daje łącznie? Może 10-15 tysięcy ludzi i to licząc już naprawdę optymistycznie. Oczywiście, nie jest to mała liczba, jednak w tej grupie nie ma mowy o jakiegokolwiek jednomyślności, strategicznej koordynacji czy współpracy. Stąd też skuteczność oddziaływania polskich nacjonalistów na rzeczywistość jest dość ograniczona. Oczywiście – akcje środowisk narodowych są często medialne, ale nie świadczy to o ich skuteczności, a raczej profilu ideowym mediów o nich piszących. Niektóre demonstracje, wypowiedzi czy działania mają rzecz jasna ograniczony wpływ na ludzi czy nawet politykę, jednak raczej są to izolowane wypadki. Całkowita kompromitacja posłów, którzy startowali z list narodowych również wykazuje, że na obecną chwilę polski nacjonalizm nie jest w stanie realnie wpływać na rzeczywistość. Jako środowisko ideologiczne, w porównaniu do innych kierunków jak liberalizm, centroprawicowa chadecja etc. jesteśmy marginesem.

Przyznajmy to szczerze – na dzień dzisiejszy nasz wpływ, jako nacjonalistów, na ogół życia narodowego w skali strategicznej jest naprawdę niewielki. Pomimo, że nasze organizacje i ekipy mają się na ogół nieźle, nie przekłada się to właściwie na inne sfery życia. Zarówno działania społeczne, historyczne, marsze i demonstracje, jak i szeroko pojęta publicystyka (papierowa, internetowa, social-mediowa), jakkolwiek często są bardzo wartościowe, także nie przybliżają według mojej opinii do zwycięstwa. Zwycięstwo przy tym rozumiem nie jako przekonanie kogoś do konkretnego postulatu, nawet do całej linii ideowej. Zwycięstwo to nade wszystko trwała i całościowa zmiana sposobu myślenia ludzi, języka jakim się posługujemy, gradacji wartości i celów. To w gruncie rzeczy zamiana dyskursu z liberalnego i marksistowskiego na etnonacjonalistyczny, przywrócenie narodowego rozumienia rzeczywistości w kategoriach kolektywnych. Chodzi o to by, używając słów Jungera, sprawić, że ludzie osiągną właściwą formę swego bytu. Zmienić musimy to jak myślą ludzie i jakimi kategoriami się posługują w swych ocenach i postępowaniu.

Czy na dzień dzisiejszy polski nacjonalizm, w tych działaniach w jakich się wyraża, przybliży się do tego celu? Niestety nie.

Magia wielkiej polityki

Drugim kierunkiem, który bezustannie przewija się z mniejszym lub większym natężeniem w myśleniu i działaniu nacjonalistów, jest kierunek

polityczno-parlamentarny. Sprowadza się to do rozumowania w następujący sposób: miejscem gdzie decyduje się o najważniejszych decyzjach w kraju jest Sejm i Senat, trzeba więc zrobić wszystko, by wprowadzić do parlamentu posłów narodowych. No właśnie – „wszystko”. Poczynając od sojuszu z bezideowymi populistami, przez wyrzeczenie się jakiegokolwiek radykalizmu, na braku jakiegokolwiek planu i strategii kończąc. Prawda o polskim nacjonalizmie i jego udziale w polityce jest nader smutna. Ruch Narodowy okazał się strasznym niewypałem pod każdym właściwie względem. Brak jakiegokolwiek programu politycznego, ośmieszanie się na każdym kroku, karierowiczostwo i hipokryzja, do tego przyjęcie w dużej mierze liberalnej retoryki i argumentacji – naprawdę tak to miało wyglądać?

A gdyby się jednak udało? Gdyby Ruch Narodowy zdobył jako samodzielna partia naprawdę dobry wynik, może nawet wygrał wybory – czy to byłoby sensowe i umożliwiłoby realizację ostatecznego celu nacjonalizmu? Moim zdaniem nie. Systemem politycznym Polski, jak i całego właściwie zachodu, jest demoliberalizm w wydaniu parlamentarnym. Oznacza to, że politycy aby zdobyć głosy wyborców, a następnie je utrzymać, muszą dostosować się do języka, wartości i poglądów swoich wyborców. Tak naprawdę w niewielkim stopniu mogą je kształtować czy nimi manipulować. Tak więc polityka jest wtórna w gruncie rzeczy względem metapolityki – a więc tego jak ludzie myślą, jakiego języka używają, jakimi

schematami myślowymi się posługują. Oznacza to, że rozgrywającymi są tutaj nie politycy i nie Naród, ale ci którzy celowo i systematycznie (o czym dalej) dokonują zmian naszego systemu wartości. Partie polityczne albo dostosowują się do tego – jeśli chcą być obecne na scenie, albo trwają przy swoich poglądach i szybko zostają zmarginalizowane. To jasno pokazuje, że sam udział w polityce w gruncie rzeczy niewiele daje – oczywiście poza profitami dla posłów. Polityka bowiem zawsze jest wtórna wobec ogólnego stanu ideologicznego, światopoglądowego, etycznego i moralnego, jaki reprezentuje sobą Naród.

Aktywizm czyli trzecia droga

Poza pielęgnowaniem obecnych form działania oraz myślenia o udziale w polityce, polscy nacjonaści widzą sens walki w szeroko rozumianym aktywizmie. Chodzi tu o działania na rzecz wspólnot lokalnych, działania uliczne – graffiti chociażby czy street art, aktywność społeczną czy lokatorską. To oczywiście ważne i dla nacjonalistycznych organizacji właściwie niezbędne. Pomoc potrzebującym, działania ekologiczne, kwestie lokatorskie etc – to istotne zagadnienia, jednak nie łudźmy się, działając na tych polach, tak naprawdę leczymy wyłącznie objawy, a i to w ograniczonym zakresie. Aktywizm, ze względu na ilość ludzi i środków, a także cel, zazwyczaj ma też jednak dość ograniczony zasięg. Jakkolwiek chlubne i słuszne nie byłyby konkretne akcje, jak choćby darmowe korepetycje Pracy Polskiej czy rozdawanie posiłków i ciepłych napojów

przez Szturmowców, to jednak ogólnej sytuacji Narodu to nie zmienia. Podobnie tzw. „uliczna propaganda” w postaci licznych wrzut, murali etc. jest oczywiście koniecznym uzupełnieniem naszego przekazu, jednak na poziomie meta nie zmienia specjalnie ludzkiego światopoglądu i sposób myślenia.

Powyższe moje spostrzeżenia dotyczące modeli działań nacjonalizmu nie są krytyką totalną, to jest nie neguję sensu poszczególnych poziomów działania. Chodzi mi przede wszystkim o stwierdzenie czy dana droga jest działaniem, które przybliży nas do zwycięstwa, czy na drabinie ważności stoi niżej, i jest uzupełnieniem czy dopełnieniem działań, które mają za zadanie przełamać cywilizacyjną zapaść Europy.

Tu pojawia się zagadnienie, które nazwałem „mitem wielkiego przebudzenia”. Generalnie nikt z nas nie ma żadnych wątpliwości, że na dzień dzisiejszy stan świadomości Europejczyków jest doprawdy tragiczny, a Polaków tylko trochę lepszy. Wszechobecna relatywizacja, wypaczenie świętych dla nas pojęć, prawdziwy drenaż umysłów oznaczający coraz to kolejne zwycięstwa liberalizmu – niestety tak teraz wygląda mapa świadomości naszego kontynentu. Wielu nacjonalistów, właściwie chyba wszyscy, także to dostrzegają. Zasadniczy problem leży w tym, że mało kto zastanawia się co jest powodem tego stanu rzeczy. Wiele osób jest gotowa uznać, że to wynik ostatnich kilku, najwyżej kilkunastu lat polityki

głównych sił ideowych Europy. Stąd też bardzo wielu oczekuje „przebudzenia” Europy. Zresztą, nie ma tygodnia żebyśmy na tym czy inny portalu nie przeczytali, że „Niemcy się budzą”, „Francja się budzi”, etc. Bez wyjątku jest to wynikiem tragicznie kiepskiej analizy pojedynczych i słabo zrozumianych wypadów. Oczywiście, wynika to z wszechobecnym na prawicy narodowej braku umiejętności głębszej analizy i jakiegokolwiek refleksji, w miejsce której króluje emocjonalne epatowanie krzykliwymi hasłami i histerycznymi opiniami. Tymczasem zaś nic nie świadczy o tym, by Europa się budziła. Trochę większy wynik wyborczy tej czy innej narodowo-populistycznej partii we Francji, Niemczech czy Austrii wynika, jeśli dobrze się wczytać w badania sondażowe, ze strachu klasy średniej przed pauperyzacją, a nie z nagłego skoku poziomu świadomości narodowej, rasowej czy kulturowej. Musimy zrozumieć jedno – nad Narodami Europy (i nie tylko jej zresztą) pracowano przez ostatnie 3 pokolenia. Poczynając od szkół, przez prasę, media, zakłady pracy, na prawodawstwie kończąc – wszystkie te materie przeżarte zostały liberalizmem i kulturowym marksizmem. To, że ludzie Europy zatracają do reszty swą tożsamość, tradycję i przyszłość to nie kwestia powiedzenia im kilku kłamstw przez Angelę Merkel, Donalda Tuska czy Adama Michnika. To wynik sukcesywnej, komplementarnej i totalnej pracy, jaką realizuje się nad ludźmi. Na użytek tych działań oddani są nie tylko dziennikarze, politycy, ideolodzy, naukowych etc, ale i najnowsze

osiągnięcia socjotechniki, psychologii czy marketingu politycznego. Dlatego też Francuzi czy Niemcy po kolejnym zamachu protestują nie przeciw napływowi imigrantów, a przeciw rasistom i radykalnej prawicy. I zapamiętajmy – kolejny zamach, irracjonalny przepis czy jakikolwiek inny epizod nie sprawią, że Europa się przebudzi sama z siebie, siłą logiki czy praw fizycznych. Za dużo zrobiono by zasnęła, by nawet najgłośniejszy, lecz samotny dzwon, mógł ją obudzić.

Metapolityka, polityka, władza kulturowa

Wspomniałem już o metapolityce. Jej definicji jest wiele, zwłaszcza w ostatnich latach termin ten przeżywa swe odrodzenie. Na potrzeby tego tekstu uznajmy, że jest to swoista nadbudówka pojęciowo-myślowa nad tradycyjnie rozumianą polityką. Składa się na metapolitykę język i system wartości, kategorie poznawcze, hierarchia i gradacja wartości, sposób rozumienia świata jakim się posługujemy, kod kulturowy. Tak ujęta metapolityka to nadrzędna kategoria względem polityki, która określa w co ludzie wierzą, i kolokwialne rzecz ujmując – to jak myślą, jak postrzegają otaczający ich świat i samych siebie. Żeby zmienić politykę, zwłaszcza w świecie demoliberalnym wpłynąć najpierw trzeba na metapolitykę i mrówczą pracą odwrócić to co się z nią stało.

Prawdę tę zrozumiał już w latach 30-tych włoski komunista Gramsci, który sformułował koncepcję „władzy kulturowej”. W jego rozumieniu

najistotniejsze było wprowadzenie takiej świadomości i ideologii, jakie uznałoby społeczeństwo. Gramsci rozumiał, że w sytuacji Europy lat 30-tych komuniści nie mieli właściwie szans na samodzielne rządzenie, nawet jako opozycja byli zazwyczaj permanentnie izolowani. Tak więc, aby ludzie z czasem (długim czasem zauważmy) zmienili to jak postrzegają komunizm, należało w pierwszej kolejności zmienić ich mentalność i świadomość. Jeśli to się uda – a wiemy, że udało się, zmiana władzy politycznej będzie już w układzie dekad czy pokoleń praktycznie formalnością.

Gramsci wprawdzie zmarł we włoskim więzieniu przed wybuchem II Wojny Światowej, ale jego prace były czytane szeroko przez lewicę i liberałów po wojnie. I nie ma żadnej wątpliwości, że były też stosowane w praktyce. Pierwsze co zrozumieli nasi wrogowie, to że oczekiwanych przez siebie zmian nie wprowadzą w kilka lat. Działania będące praktycznym zastosowaniem teorii władzy kulturowej realizowane miały być przez kilka pokoleń. Po kolei zbudowano najpierw silne ośrodki realizujące i zarządzające działaniami metapolitycznymi, następnie zajęto się wykształceniem szerokiej grupy ludzi, którzy dla lewicy i liberałów posłużyliby jako nauczyciele, a na końcu dopiero zrealizowano zaplanowany masowy drenaż umysłów. Zauważmy jedno – całość tych działań realizowana była przez co najmniej 3 pokolenia. To fundamentalne spostrzeżenie i jedna z największych różnic między lewicą a prawicą w

Europie po wojnie. O ile lewica jest w stanie przeboleć to, że nie rządzi, o tyle ma świadomość, że przy prawidłowym działaniu wedle zasad władzy kulturowej, prędzej czy później zmiany świadomości Narodów same sprawią, że lewica i liberalowie dostaną upragnioną władzę. Prawica tymczasem – narodowa, konserwatywna, chadecka – jest w stanie ciągłej defensywy. Od 1945 roku prawica właściwie reaguje wyłącznie na działania swoich wrogów, a przede wszystkim całkowicie przyjmuje narzucony sobie dyskurs. To znamienne, że politycy opcji prawicowej potrafią bezwstydnie rywalizować z lewicą w tak zacnych dziedzinach jak antyfaszyzm, antyrasizm, poprawność polityczna, walka z nacjonalistami. Ostatnie przypadki takich zachowań mamy także w Polsce – oto bowiem od ponad 2 miesiące ludzie związani z Ruchem Narodowym prześcigają się z wiadomym ośrodkiem w tropieniu coraz to nowych przejawów rasizmu i jego piętnowaniu. To zjawisko niestety powszechne – na zachodzie to niejednokrotnie partie konserwatywne uchwałyły związki jedнопłciowe czy aborcję. Czemu tak się działo? Oczywiście powodów jest wiele, jednak jeden z najważniejszych to zmiana kultury politycznej i świadomości, krótko mówiąc – działania metapolityczne. Nasi wrogowie dzięki temu wpłynęli tak na społeczeństwa, że z czasem wszystkie grupy i klasy społeczne przyjęły lewicowo-liberalną narrację. W efekcie partie prawicowe, które nie przeciwstawiły temu żadnej kontrnarracji, aby zachować swój elektorat musiały zmienić swoje programy i politykę.

Jak działa taka władza kultura i metapolityka ostatnio mogliśmy zauważyć w Polsce, choć w skali mikro i krótkoterminowej. Chodzi mi mianowicie o kwestię imigrancką i to jak partie polityczne zmieniły swój stosunek do zagadnienia. W momencie rozpoczęcia i potęgowania się tzw. „kryzysu uchodźczego” opinia publiczna była w Polsce pozytywnie nastawiona do przyjmowania obcej ludności. Wówczas jednak środowiska narodowe, po części konserwatywne czy nawet koliberalne rozpoczęły dość dynamiczne działania publicznego sprzeciwu. Podnoszono między innymi kwestie związane z terroryzmem, brakiem asymilacji i innymi zagadnieniami. W efekcie, po kilku miesiącach opinia publiczna zmieniła się mocno, w kierunku twardego sprzeciwu wobec przyjmowania jakiegokolwiek liczby uchodźców. Jak to wpłynęło na partie polityczne? Centroprawicowy PiS, dotąd przychylny imigrantom, zmienił nastawienie o 180 stopni przechodząc na stanowisko przeciwne jakiegokolwiek imigracji. Także populistyczna partia Kukiza przeszła identyczną metamorfozę. Oczywiście taka zmiana nastawienia społeczeństwa jest oparta na działaniach, które nie trwały bardzo długo (kilka-kilkanaście miesięcy) i wynika głównie z emocjonalnego podejścia do tematu. Bardzo łatwo lewica i liberałowie, w razie powrotu do władzy, będą w stanie odwrócić ten trend. Jednak sama zasada, że sfera ludzkiej świadomości i poglądów warunkuje to, jak funkcjonuje polityka jest tu ukazana dobitnie.

Co jest naszym celem

Konkluzja jest już prosta. Naszym najważniejszym celem nie jest ani kultywowanie obecnych form działalności, ani dążenie do obecności na scenie politycznej ani aktywizm dla samego aktywizmu. To oczywiście ważne elementy, ale muszą być wtórne i ich realizacja musi wynikać z działań metapolitycznych. Naszą jedyną szansą na uratowanie naszego dziedzictwa i wygranie przyszłości jest zmiana ludzkiej świadomości, tego jak ludzie myślą, co myślą i w jaki sposób odbierają i postrzegają świat. Musimy przeciwstawić naszym wrogom własną narrację i system wartości. Pamiętać przy tym musimy, że pełna realizacja tego to nie kwestia roku, dekady czy kadencji. To w gruncie rzeczy praca na kilka pokoleń – tak jak lewica i liberałowie stopniowo rozmiękczała i zatruchiwała Europę, tak my powoli, acz konsekwentnie i systematycznie, musimy rozpocząć detoksykację. Nie widzę naprawdę nic złego w tym, aby czytać Gramsciego i jego ustalenia i obserwacje wykorzystać dla naszych celów. Mimo, że był on komunistą, to po prostu w swoich zeszytach dokonał analizy tego, jak funkcjonuje sfera polityczna, kulturowa i metapolityczna Narodów, oraz w jakich występują współzależnościach. Dyskusja nad tym jakimi metodami należy to robić powinna zacząć się jak najszybciej, natychmiast wręcz. Czy robić to poprzez projekty medialne, portale, etc. czy może lepsze są kanały social-mediowe, własne kanały youtube, wydawnictwa prasowe i książkowe, akcje i eventy uliczne, konferencje i kluby dyskusyjne? Na te

pytania musimy znaleźć odpowiedzi naprawdę błyskawicznie, gdyż czasu mamy coraz mniej. Ze swojej strony uważam, że nade wszystko czerpać musimy z doświadczeń ruchów alt-right na zachodzie, zwłaszcza w USA. Środowiska te realizują obecnie właśnie misję walki metapolitycznej i mim zdaniem z miesiąca na miesiąc udaje im się zdobywać kolejne przyczółki.

Nie bójmy się czerpać z tego kanonu i wdrażać na polskim podwórku. Im szybciej sfera walki metapolitycznej zacznie określać to jak wykorzystujemy i kształtujemy obecne formy działań, aktywizm społeczny i lokalny oraz ewentualny udział w polityce – tym lepiej. Bez tego niestety będziemy błądzić niczym we mgle.

„Nie chodzi bowiem o przejęcie władzy przez jakąś nową warstwę polityczną lub społeczną, ale o to, że nowe, dorównujące wszystkim wielkim historycznym formom bytu człowieczeństwo sensownie wypełnia przestrzeń władzy”

Ernst Jünger, „Robotnik”

Grzegorz Ćwik

Miłosz Jezierski – „Wywiad z przedstawicielami Nordisk Ungdom”



- 1. Jako Nordisk Ungdom (NU) wystartowaliście z nową organizacją Stowarzyszenie Skandynawskie (Skandinaviska Forbundet - SF). Możesz powiedzieć o niej kilka słów wstępu? Jakie są wasze cele?**

Patrik Forsen (PF): Pierwszym z punktów naszego programu jest Rekonkwista zachodniej cywilizacji. Oczywiście wiemy, że jest to ogromne przedsięwzięcie. Jednak ktoś to musi zacząć realizować, wystartować. Nordisk Ungdom (Nordycka Młodzież) to organizacja, która istnieje około 8 lat, wielu z nas starzeje się, zakłada rodziny i potrzebujemy podmiotu,

który będzie reprezentował spojrzenie starszych osób, stateczniejszych. Potrzebujemy poważniejszego programu niż młodzieżowa organizacja.

Fredrik, jesteś aktywista ulicznym, myślisz, że organizacja przysłuży się młodszym członkom, gdy starsi będą służyć rada, czy raczej będzie skupiać się właściwie na starszyźnie?

Fredrik Hagberg (FG): Myślę, że będzie dobre dla obu grup. Starsi potrzebują czegoś z czym mogą się identyfikować. Jeżeli spojrzysz na nasze pokolenie, które obecnie jest aktywne, są to ludzie w wieku 30-40 lat. Jesteśmy najstarszymi aktywistami. Nie mieliśmy żadnej propozycji dla seniorów, starszych doświadczonych, którzy mogliby zasilić nas doświadczeniem lub też aktywizować ludzi w ich wieku.

2. Jakie fundamenty ideowe kładziecie pod SF? Jakie są wasze inspiracje? Rodzime oraz europejskie?

PS: Głównie opieramy się o to co nazywamy naturalnym porządkiem rzeczy. Nie chcemy też określać się jako konserwatyści czy nacjonaści. Posiadamy jednych i drugich, ale celem organizacji jest wprowadzenie radykalnego języka do publicznej debaty. Zradykalizowanie normalności. To co jest normalne w Szwecji dzisiaj to parady równości, transpłciowość, multikulturalizm. I najważniejszym punktem jest znormalizowanie tego co my uznajemy za naturalne. Odwrócenie trendu. Jeżeli chodzi o inspiracje

to w Szwecji istnieje ten problem, że mamy bardzo młoda tradycje ruchów nacjonalistycznych. Największym ruchem nacjonalistycznym jaki tu istniał był ruch skinheads. Odszedł jednak w końcu lat 90, scena muzyczna się rozpadła ze względów finansowych. A subkultura była z nią związana. To co zostało to Sverigedemokraterna i inne ugrupowania narodowe, ale z ciągotami liberalnymi. My chcemy skupiać się na potrzebach młodych pokoleń chociażby kryzysie mieszkaniowym, lobbować za uposażeniem młodych we własny kąt. Jeżeli chodzi o scenę europejską to największą inspiracją jest dla nas CasaPound, jednak jeżeli chodzi o sposób aktywizacji. Akcje społeczne. Ideologicznie nie są nam specjalnie bliscy chociażby ze względu na tolerancje wobec homoseksualistów. Ale są niesamowici w akcjach ulicznych, robią wiele dobrego w realu. Chcą uczynić społeczeństwo lepszym, tu i teraz. My również.

FH: Chciałbym dodać, że obserwujemy wiele ruchów w Polsce. Szczególnie Marsz Niepodległości gdzie kilka pokoleń idzie obok siebie, dla swojego kraju, celebryje. Czegoś takiego nie mamy w Szwecji. Pokolenie naszych rodziców nie toleruje tego co robimy, nie lubią tego. Nie rozumieją. A my chcemy jednoczyć pokolenia.

3. Głosicie hasła pan-skandynawskie, jaka jest wasza wizja w tej materii?

PF: Od początku próbujemy śledzić nasze korzenie, nasze pochodzenie. Przede wszystkim i po pierwsze jesteśmy Skandynawami, nie Szwedami, Duńczykami czy Norwegami. Posiadamy taką samą krew, etnos, kulturę i podobny język oraz doskonale się rozumiemy.

Czyli krew jest ważna?

PF: Tak, jest. Jeżeli uważasz, że reprezentujesz ruch etniczny, etnonacjonalistyczny musimy zwracać uwagę na nasze pochodzenie etniczne. Co do przyszłości projektu pan-skandynawskiego czy wspólnego państwa... Jesteśmy częścią Europy uważamy, że z pewnością będzie istnieć jakaś forma porozumienia ponadnarodowego, może będą to wspólne wojska, ale nie armia, na pewno współpraca gospodarcza, jednak nie w formie UE. Co do Skandynawii, która miałaby cokolwiek wnieść do takiego projektu musiałby zjednoczyć się w jedno państwo by zachować swoją pozycję w takim tworze, ale też by mieć sensowną ofertę dla innych partycypujących. Szwecja to największy kraj na Północy, a jednocześnie 4 razy mniejszy od Polski pod względem populacji. Musielibyśmy zjednoczyć się z innymi krajami skandynawskimi, żeby posiadać jakąkolwiek siłę.

4. Jakie posiadacie zdanie o projekcie Intermarium i idei paneuropejskich?

FH: Myślę, że nie jest to łatwe pytanie, odpowiedź nie będzie prosta, ponieważ musielibyśmy wejść głębiej w psychikę regionów projektu. Lubię jednak sam koncept Międzymorza. Kraje, które w swej historii często walczyły ze sobą dochodzą do porozumienia bez interwencji UE. Tworzą coś wbrew Unii. Są inspiracją dla innych ruchów europejskich pokazując, że UE może zniknąć, jest zbędna, przestarzała gdyż nie potrzebujemy nadbudowy z UE żeby ze sobą współpracować. I temu też kocham ideę Intermarium.

5. Czy w dzisiejszych czasach nacjonalista nadal powinien kierować się tylko egoizmem narodowym, czy jednak nadeszły nowe wyzwania, w których egoizm narodowy nie gra roli, a potrzebujemy nowego szerszego spojrzenia?

PF: Może zacznę od tego, że uleganie szowinizmowi nie jest niczym dobrym. Jak wspomniałem wcześniej to o co walczymy to cywilizacja europejska. Fundamentem narodu jest rodzina, naród jest zbiorem rodzin powiązanych wspólnymi cechami etnicznymi. Natomiast nie jest to twór ostateczny. Zbiorowość narodów, których etnos opiera się o ta sama kulturę i pochodzenie tworzy cywilizację.

FH: Jeżeli chodzi o Centralna Europe muszę przyznać, że jest tam niezły bałagan, ale ja widzę, że zaczyna się powoli jednoczyć, mieć wspólne cele. To dobrze. Oczywiście rozumiemy, że musimy skupić się na naszych

problemach, jesteśmy szwedzkimi nacjonalistami i jest to nam najbliższe. Jednak zdecydowaliśmy, że chcemy mieć lepsze relacje zresztą Europy, nie możemy o tym zapominać, że jesteśmy jako naród częścią czegoś większego.

Słyszemy też głównie z obozu tradycjonalistycznego czy identytarystów o próbie budowania jednego europejskiego państwa, idąc za Guillaume Fayem nawet euro-syberyjskiego, co osobiście uważam za fikcję, jednak w naszym środowisku szturmowym przyjmujemy tezę, że upadek jednego kraju europejskiego pod naporem sił demoliberalnych stworzy z niego forpocztę do wywracania tradycyjnego porządku w innych krajach. Taki efekt domina. Zgadzacie się z taką tezą?

PF: Tak to system naczyń połączonych. Tu w Skandynawii zawsze gdy jedziemy do Polski, Niemiec itd. mówimy, że jedziemy do Europy. Uważamy się za półwysep, ale nie za część kontynentalnej Europy. Taka jest szwedzka mentalność. Czyli uważamy, że najpierw liczą się Skandynawowie potem Europa. Jednak uważamy, że w tym przypadku nie będzie takiego rozgraniczenia. Jeden upadły kraj to wzmocnienie trucizny, która się rozlewa. Jeżeli upadnie Szwecja to prędzej czy później stanie się to z Polską. Interesującym zjawiskiem jest to, że w latach 60 szwedzkie kobiety jeździły do Polski robić aborcje. Tymczasem dzisiaj to Polki jeżdżą

do Szwecji na ten zabieg. Więc pewne tendencje się przenikają, oddziałujemy na siebie wzajemnie w większej skali niż sobie wyobrażamy.

6. Jaki macie pogląd na etnonacjonalizm? Tożsamość biologiczna jest ważna? Nacjonalizm kulturowy czy etnonacjonalizm?

PF: Na pewno kulturowy nacjonalizm jest błędny, zarówno jak i tylko biologiczny. Jednak etnonacjonalizm to co innego. To połączenie kultury i czynnika biologicznego. Szwedzcy demokraci są nacjonalistami kulturowymi, twierdzą, że każdy może być Szwedem o ile przyjmie nasze wzorce, oczywiście to nie jest w porządku.

FH: Ja myślę, że kulturowy nacjonalizm nie działa w rzeczywistości. Ponieważ bez swoich ludzi połączonych więzami krwi nie ma twojej cywilizacji, nie ma twojej kultury.

PF: A czy możesz powiedzieć, że Afrykanin może być Szwedem?

Nie

PF: Nie nie możesz, ale można uznać, że Afrykanin może być częścią szwedzkiego społeczeństwa?

Tak, jak np. Bechir Rabani^[1], ale on nie uważał się za Szweda, tylko za palestyńskiego nacjonalistę.

PF: Dokładnie, państwo może nadać obywatelstwo, ale nie może dać ci narodowości.

FH: To nigdy nie było problemem by ludzie podróżowali i przemieszczali się między krajami, jeżeli spojrzysz na historie. Zawsze istniały takie grupki. Problemem stał się multikulturalizm.

7. Byliście na ostatnim Marszu Niepodległości, widziałeś Black Block, wiesz jakie hasła były tam niesione. Co krzyczano i jakie kontrowersje to wzbudziło. Nie chodzi tylko o liberałów bo to jest sprawą oczywista, ale polską prawicę i umiarkowanych nacjonalistów. Co myślisz o ich potępieniu radykalizmu i deklaratywnym nacjonalizmie kulturowym?

PF: Może to temu bo w Polsce nie istnieje zjawisko masowej imigracji, ale w Szwecji nie możemy powiedzieć, że 2 mln osób, które nie są Europejczykami mogą stać się Szwedami. To totalne samobójstwo. Może ten punkt widzenia wynika z barku doświadczenia tego zjawiska.

W Polsce aktualnie mamy do czynienia ze zjawiskiem imigracji. Rząd zapowiedział ściąganie pracowników z Indii i Bangladeszu, dość pokaźną grupą są Czeczeni, a liczba Azjatów oscyluje wokół 250 tysięcy.

PF: Ale oni robią dobre jedzenie <śmiech>

Mamy więc początek podobnych jak wy problemów, ale są ukrywane. A więc jak w tym świetle wygląda ich potępienie radykałów?

PF: Oczywiście nie mogę się zgodzić z potępieniem. Europa zawsze była w większości biała i powinna taka pozostać. I nie jest to czynnik rasistowski. To naturalny aspekt naszej tożsamości. To nasze dziedzictwo. Nie chcemy zostać skolonizowani przez ludzi z innych kontynentów. To wszystko. To nie jest żaden biologiczny rasizm to zdrowy rozsądek.

Fredrik uważasz, że to było potrzebne czy jednak radykalizm należy wyhamować?

FH: Nie sądzę, że to było potrzebne. W takim sensie, że my widzimy pewien obraz Polski z zewnątrz, nie znamy ukrytych problemów. I nie uważam przez to, że to było zbyt radykalne. To powinno być przykładem dla ludzi młodych. Czyli nie możecie mówić, że coś jest zbyt radykalne, ani pytać czy było to potrzebne. Cały czas należy trzymać gardę.

Jeden z prawicowych chadeckich dziennikarzy napisał o BB, że nie ważne czy Europa będzie biała czy brązowa, ważne, żeby była chrześcijańska.

PF: To jest totalnie złe. Jeżeli na miejsce twoich ludzi, ktoś implementuje inną populację to zmienia się wszystko. Nie tylko biologicznie. Zmienia się kultura, zmienia się charakter.. wszystko. A oni chcą zdechrystianizować nasz kontynent i go skolonizować. To wszystko.

8. Czy w świetle owych problemów uważacie, że popularna teza, iż Polska jest ostatnia nadzieja Europy ma nadal miejsce czy jednak my znajdujemy się tam gdzie Szwecja i Zachód 30-40 lat temu?

PF: Prawdopodobnie jesteście w tej samej pozycji w jakiej Szwecja była na początku lat 80 końcu 70. Uważam, że Polska nie przetrwa sama. Nawet w obecnym społeczeństwie, ciągle konserwatywnym i chrześcijańskim. Nie sadzę, żeby w przyszłości Polska zostawiona sama sobie przetrwała w takim kształcie.

FH: Jak już wspomniałem nie opuszczać gardy. Jeżeli ludzie poczują się pewnie bezpieczni, tak jak kiedyś w Szwecji. Wszyscy żyli beztróska. Pewnego dnia możecie się obudzić, że jesteście w tym samym miejscu gdzie my w tej chwili.

PF: Kiedy my dorastaliśmy nie widzieliśmy tych problemów, tego nie było. To urosło bardzo szybko. Zaczęło się po roku 2000 z ogromną siłą. W 2000 roku populacja Szwecji to 8,8 mln, w 1960 r to było 8 mln. Czyli przyrost

był powolny, ale stabilny. Nagle teraz w 2016 roku jest już 10 mln. 1,2 mln w ciągu 16 lat, niecałych, podczas gdy przez 40 nie osiągnęliśmy miliona. Ci wszyscy ludzie to imigranci. Większość to nie są nawet Europejczycy. A Szwedzka populacja się również zmniejszyła. Rdzennych Szwedów jest może 6 mln w Szwecji, obecnie, przyrost przez wiele lat był ujemny. Do tego dochodzą inni Europejczycy i Skandynawowie. Finowie, Norwedzy, Duńczycy... Większość z imigrantów pozaeuropejskich to oczywiście Bliski Wschód, mniej z Afryki Subsaharyjskiej, ale nadal we wszystkich reklamach masz jasny obraz. Czarny facet i biała Szwedka.

No właśnie. Związki mieszane, zauważyłem wśród młodych kobiet pewną modę na kręcenie z kolorowymi imigrantami na zasadzie luźnego związku, potem w razie wpadki aborcja, a na koniec małżeństwo z białym Szwedem.

FH: Tak, tak bo to ma w sobie dreszczyk emocji, bo to zakazany owoc, bo chłopak jest z getta jest groźny...

No właśnie, ale czy to nie jest pewien naturalny zew, taki rasowy zdrowy rozsądek?

FH: Oczywiście, w końcu chcesz żyć w bezpiecznej wspólnocie, białym komfortowym społeczeństwie.

PF: Kilka lat temu przeprowadzono pewne śledztwo, badanie. W szkołach. Gdy pojawiała się tam więcej niż 3 % nieeuropejskich dzieci wtedy bogatsi szwedzcy rodzice zabierali swoich potomków do szkół z białymi dziećmi. Tym samym populacja kolorowych rosła, a białych stopniowo malała. Wraz ze wzrostem dzieci nieeuropejskich Europejczycy zabierali szybciej swoje. Można nazwać to problemem braku integracji, ale to nie jest żaden problem. To się stało naturalnie, instynktowne. Sam mieszkam na osiedlu szwedzkim, na przedmieściach Sztokholmu. Oczywiście wszyscy moi sąsiedzi nie chcą mieć za sąsiadów imigrantów, ale jednocześnie znają mnie i nie chcą ze mną rozmawiać bo otwarcie mówię, że jestem nacjonalistą. A oni z rasistami nie rozmawiają. Moi rówieśnicy oczywiście.

9. Ostatnie pytanie dotyczy waszych przyszłych planów związanych z SF, słyszałem, że chcecie budować własne centrum socjalne wzorowane na CasaPound. Chcecie może coś powiedzieć narodowym radykałom w Polsce?

PF: Oczywiście mamy ambitny plan zbudowania czegoś na wzór CPI. Zauważyliśmy, że nasze akcje stają się popularne w naszym społeczeństwie. Co zresztą uwidoczniły statystyki datków. Zwłaszcza po akcji z zatrzymaniem parady równości^[ii] czy kontrdemonstracji antyimigracyjnych związanych z deportacją Afgańczyków. Poparcie wzrosło geometrycznie. A same akcje obły się szerokim echem w

szwedzkim społeczeństwie. Chcemy, żeby organizacja rozrosła się do setek osób. 500 czy 600 osób potrafi zrobić niesamowita robotę i na ta chwile skupiamy się na rekrutacji. Posiadamy jeszcze Instytut Dacke, które służy nam za centrum intelektualne oraz wydawnicze. Nils Dacke był katolikiem, który rozpoczął antymonarchistyczną rebelię i chciał obalić absolutyzm Wazów oraz utrzymać Unie Kalmarską. W przyszłości chcemy również zorganizować konferencje ogólnoeuropejskie, na których z pewnością widzimy gości z Polski. Polska sama w sobie jest dla nas inspiracją.

FH: Chcemy również zbudować platformę medialną. Jako NU nie posiadamy takowej, ale w końcu w naszym lokalu zaczęliśmy taką organizować. Zawsze byliśmy zależni od czyjegoś medium i w końcu robimy coś swojego.

Ok dzięki za wywiad.

Miłosz Jezierski

[i] Szwedzki dziennikarz i palestyński nacjonalista, który popierał europejskich nacjonalistów i obnażał polityczną poprawność oraz rzeczywistość w imigranckich nieeuropejskich społecznościach. Gościł na konferencjach Alt Right i współpracował ze szwedzkimi nacjonalistami, określał się jako szwedzki lojalista. Prowadził śledztwo dziennikarskie w

sprawie malwersacji finansowych Roberta Aschberg, dziennikarza żydowskiego pochodzenia i milionera, który jest jednym z założycieli Expo. Szwedzkiego odpowiednika Nigdy Więcej. Zmarł na atak serca w wieku 33 lat, dzień przed opublikowaniem wyniku śledztwa w sprawie Aschberg.

[\[ii\]](#) Sztokholmska parada równości jest największa w Europie i gromadzi nawet 200000 osób.

**Tomasz Kosiński – „Nulla crux, nulla corona” – Florian Geyer,
dziedzictwo i mit obrońcy niemieckich chłopów**



Florian Geyer

Wir sind des GeyersschwarzerHaufen (jesteśmy czarną gromadą Geyera)
- tymi słowami zaczyna się popularna, niemiecka pieśń ludowa. Tekst
inspirowany XIX – wieczną piosenką *Ich bin der arme Kunrad* powstał w
1920 roku. Utwór nawiązuje do działań armii chłopskiej Odenwaldu oraz
jej przywódcy Floriana Geyera biorących udział w XVI – wiecznych
wojnach chłopskich. Dowódcy, którego mit inspirował od II połowy XIX
wieku socjalistów, działaczy chłopskich, jak i nazistów. Jego imieniem
nazwano m.in. 8 Dywizję Kawalerii SS.

Florian Geyer urodził się około 1490 roku, na zamku rodu Geyer, w Giebelstadt, w Dolnej Frankonii. Po śmierci ojca Dietricha w 1492 roku, a później dwóch braci, odziedziczył zamek rodowy oraz ogromny majątek. Dzięki temu nie musiał martwić się o byt. Około 1512 lub 1513 roku, udał się na dwór króla Anglii Henryka VIII. Tam spotkał się z reformatorskimi ideami Jana Wiklefa oraz ruchem lollardów. Ta ostatnia to plebejsko – religijna organizacja, która bazowała na Piśmie Świętym. Odrzucała Kościół Katolicki jako instytucję. Wyznawcy tej idei uważali go za zepsuty. W 1517 roku Florian Geyer został ekskomunikowany. Był to efekt sporu dotyczący 350 - letnich roszczeń czynszu wraz z odsetkami, które wysunęła kolegiata w Neumünster. W 1519 roku, jako dowódca landsknechtów w Szwabii, brał udział w wyprawie przeciwko księciu Ulrykowi Wirtemberskiemu. Wynikało to z jego obowiązków wobec margrabiego Kazimierza Hohenzollerna. W tym samym roku na jego prośbę wsparł brata margrabiego, wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego Albrechta Hohenzollerna w walce z Królestwem Polskim (1519 -1521). W 1520 roku przewodniczył negocjacom dotyczącym zawieszenia broni. W 1523 roku był na rokowaniach w czasie trwania obrad sejmu rycerskiego we Schweinfurcie. Do 1523 roku pozostał na służbie Zakonu Krzyżackiego. W ramach swych działań odwiedził dwory europejskich władców szukając wsparcia, gdy sytuacja militarna podczas wojny rozwinęła się

niepomyślnie dla zakonu. Towarzyszył również Hohenzollernowi podczas rozmów z Marcinem Lutrem w Wittenberdze w 1523 roku.

W 1524 roku wybuchła wojna chłopska. Zreinterpretowane przez Thomasa Müntzera idee Marcina Lutra porwały do walki chłopów z południowych ziem. Żądano zniesienia stosunków feudalnych, ustanowienia równości społecznej, odrzucenia pośrednictwa księży w sprawach wiary, gdyż „natchnienie Ducha Świętego” jest najważniejsze. Walczono także o odebranie dóbr panom feudalnym i duchownym oraz rozdzielenia ich między chłopów. Warto zaznaczyć, iż Marcin Luter uważał te postulaty za zbyt radykalne. Co więcej otwarcie wystąpił przeciwko nim w 1525 roku, wydając odezwę „Przeciwko zbójckim i morderczym rotom chłopów”.

Geyer podobnie jak większa część rycerstwa niemieckiego popierała idee reformacji, jednak rewolta chłopska przybrała charakter otwartej wojny przeciwko obu nurtom religijnym, jak i stosunkom feudalnym. W tym czasie Florian Geyer negocjował warunki poprawy bytu chłopów z regionu doliny Tauber. Wraz z garstką rycerzy stworzył podstawy chłopskiej armii tzw. „Czarnej Gromady” (*schwarzerHaufen*). Była prawdopodobnie jedyną, ciężką dywizją kawalerii w historii Europy, która stanęła po stronie rewolucji chłopskiej. Geyer opracował zasady walki jednostki oraz wystawił ze swego majątku oddział liczący kilkuset mężczyzn. „Czarna Gromada” pozwoliła piechocie Müntzera na odniesienie szeregu zwycięstw

na polach bitew. Pomogła wyzwolić wiele wsi. Sam Geyer stał się ludowym bohaterem we Frankonii, a później w całych Niemczech. Udało mu się pozyskać zwolenników w wielu niemieckich miastach takich jak np. Rothenburg ob der Tauber. Jego celem były reformy całej Rzeszy, zniesienie przywilejów szlachty, oraz duchowieństwa. Ponadto walczył o zniesienie ewangelii jako podstawy moralności. Z sukcesami Geyera wiąże się opowieść, iż po odniesieniu szeregu zwycięstw wydrapał na swym mieczu hasło *Nulla crux, nullacorona* (Ani krzyż, ani korona). Związana z nim jest również czarna legenda - przypisuje mu się bezmyślne niszczenie katedr i zamków, a także egzekucje panów i kapłanów w nich mieszkających. Okrucieństwo i zakres tych działań jest jednak kwestionowany.

Wojna chłopska chyliła się ku upadkowi, wielu buntowniczych chłopów wróciło do domów. Większość rycerzy, którzy wraz z Geyerem wsparli Müntzera uciekli. Sam przywódca chłopów został pokonany pod Frankenhausen i wkrótce wykonano na nim wyrok śmierci. Gdy szwabskie oddziały Georga Truchsess von Waldburg-Zeil wystąpiły przeciw powstaniu i zadały im dotkliwą porażkę, postanowiono za radą Geyera wynegocjować rozejm. Mediatorem miał być margrabia Kazimierz Hohenzollern. Geyer udał się do Rothenburg ob der Tauber oczekując na wojska Hohenzollerna. Po klęsce chłopów w bitwie pod Ingolstadt, Geyer został wydalony przez radę miasta. Odjechał konno w kierunku

północnym. Nocą z 9 na 10 czerwca 1525 roku w Gramschatzer Wald, koło Würzburga, został zaatakowany i zamordowany. Według źródeł za atak odpowiadało dwóch parobków szwagra Geyera Wilhelma von Grumbach. Los zwłok Geyera do dziś pozostaje niewyjaśniony.

Postać Floriana Geyera inspirowała zarówno polityków, jak i artystów. Został uznany za zapowiedź komunistycznego rewolucjonisty w „Wojnie chłopskiej” Friedricha Engelsa. W dziele tym Engels twierdził, że wojna chłopska była przede wszystkim walką klasową o kontrolę nad ziemią i kopalniami, podważało to język biblijny i metafory powszechnie rozumiane przez chłopów. Geyer był także bohaterem jednej z głównych sztuk Gerharta Hauptmanna, historycznego dramatu „Florian Geyer. Die Tragödie des Bauernkrieges” (1896) pojawia się również w sztuce Nikolausa Freya „Florian Geyer – Bauernkrieg 1525”. Stanowił inspirację do napisania powieści przez Wilhelma Roberta Hellera pt. „Florian Geyer. Roman.” Natomiast wspomniana we wstęp pieśń ludowa „Wir sind des GeyersschwarzerHaufen” została przyjęta przez międzynarodowy, marksistowski ruch robotniczy.

Geyer był również wspominany przez rewolucyjny ruch *Landvolkbewegung* oraz działaczy *Czarnego Frontu* w latach 30. XX wieku. Stał się również patronem 8. Dywizji Kawalerii SS Florian Geyer,

ponieważ dla Adolfa Hitlera i NSDAP utożsamiał w sobie cechy germańskiego herosa.

Stał się symbolem buntu uciskanych mas, który inspirował kolejne, niemieckie pokolenia. Obecnie pamięć o Florianie Geyerze nie jest tak silna jak przed II wojną światową. Nie zmienia to faktu, że niemieccy nacjonaści doceniają jego rolę w kształtowaniu mitu niemieckiego bohatera, walczącego z niesprawiedliwością społeczną, mimo okrucieństwa i zbrodni, których miał się dopuścić.

Tomasz Kosiński

Patryk Płokita – „Stanisław Werner – bojowiec radomskiej Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej (1888-1906)”



We wstępie chciałbym podkreślić, iż już pisany był „rąbek tematyczny” w Szturmie, na temat „Rewolucji 1905 r. w Królestwie Polskim”. Dokładnie chodzi o „urywek” w kwestii tzw. „Powstania Łódzkiego”. Odwołuje tutaj bezpośrednio do tekstu naszej Pani redaktor, Marty Niemczyk pt.: „»Lepka purpura łódzkich kwiatów« – niełatwa historia rewolucji 1905 r.” (Warto zajrzeć do bibliografii na końcu artykułu). Bardzo cenie z tego tekstu rozważania i wrażliwość na temat braku jednolitości opcji politycznych po stronie rewolucjonistów, czy kwestii endeckiej w tych wydarzeniach. Będąc szczerzy, to w pewnym sensie ten tekst zainspirował mnie do napisania tego artykułu. Uzmysłowił mi, że w naszej „nacjonalistyczno-piśmienniczej pracy”, po pierwsze, musimy stawiać

większy nacisk na opisywanie wydarzeń Rewolucji 1905 r. z innego punktu widzenia. Po drugie to o regionalizm mi tu chodzi, o który jako nacjonaści walczyliśmy. Na sam koniec chciałbym dokonać minimalistycznego porównania miast. Radom podobnie jak Łódź jest miastem post-robotniczym. Przykłady? Upadające pustostany fabryk obuwniczych „Radoskóru” sprzedane za bezcen w czasie transformacji. Ostał się jedynie główny kilku piętrowy budynek. Zamieniony został na sale pod wynajem lub magazyny pod różne działalności. Wałące i zarośnięte budynki dawnej Fabryki Broni w Radomiu, w których funkcjonują np. kluby skierowane do młodych osób.

Wróćmy teraz do samego tła wydarzeń. Warto uświadomić czytelnika, iż idee narodowe, niepodległościowe i rewolucyjne łączyły się ze sobą w wydarzeniach Rewolucji 1905 r. Będę o tym pisał i powtarzał aż do bólu. Głównym ich skupiskiem pozostawała Polska Partia Socjalistyczna. (PPS). Ponadto rewolucjoniści nie byli środowiskiem „jednolitej idei”. Tworzyli swoisty „konglomerat”. Między innymi Socjal-Demokraci Królestwa Polski i Litwy (SDKPiL) zarzucali członkom PPS ich „patrio-socjalizm”, co słusznie zauważyła we wspomnianym tekście M. Niemczyk. Takim przykładem fuzji socjalizmu, patriotyzmu i szeroko pojętych idei narodowych, pozostaje tutaj postać Stanisława Wernera. Persona ta stała się lokalnym bohaterem mojego rodzinnego miasta Radom. Wspominałem już o nim. W ramach Szturmu udostępniłem wiersz pt.

„Cierpienia Młodego Wenera”. (Napisałem go jeszcze w czasach szkolnych. Odwołuje z tego miejsca kolejny raz do bibliografii na końcu artykułu). Uważam, że postać ta swoją postawą wpisuje się w obronienie pewnej tezy. Chodzi dokładnie o to, że spora część ludzi biorąca udział w Rewolucji 1905 r. w Królestwie Polskim, łączyła idee socjalistyczne, narodowe i niepodległościowe. „Cios w policzek” dla tych, którzy spływają te wydarzenia w dyskursie historycznym i politycznym do mianownika walki o „internacjonalistyczną rewolucję walki klas”, jakim w późniejszych czasach okazała się Rewolucja Bolszewicka w Rosji i komunizm tam stworzony.

Bohater tego artykułu urodził się 4 października 1888 r. w Adamczowicach. Jego ojciec był rządcą majątku Kosarzew średni, niedaleko Krzczonowa na Lubelszczyźnie. Początkowo naukę pobierał w radomskim gimnazjum. Mowa tu o klasie pierwszej i drugiej. Klasy trzysześć skończył w czwartym gimnazjum w Warszawie. W listopadzie 1905 r. przyjechał z rodzicami z Warszawy do Radomia i rozpoczął naukę w siódmej klasie w Szkole Handlowej. W 1905 r. wstąpił do PPS. Prawdopodobnie rok później wszedł w struktury Organizacji Bojowej PPS. (O.B. PPS). Dokładnie został członkiem tzw. „Uczniowskiej Piątki Bojowej”. Kierował ją Waclaw Zbrowski ps. „Braciszek”. W skład „piątki”, oprócz tytułowego bohatera wchodziło: Roman Machnicki, Jan Gruszczyński, Jerzy Pieczynis, Stefan Rodkiewicz, Teodor Latomski. Od

listopada 1906 r., S. Werner i S. Rodkiewicz uczestniczyli w przygotowaniach do zamachu na szefa Radomskiej Żandarmerii Gubernialnej – pułkownika von Płotto. Znajdowali się oni pod opieką „okręgowca” O.B. PPS. Dokładnie był nim Stanisław Hempel ps. „Pankracy”.

Co było powodem „wyroku śmierci” wyższego kierownictwa PPS na von Płotta? Po pierwsze brutalny stosunek do więźniów w Piotrkowie biorących udział w działaniach podczas Rewolucji 1905 r. Po drugie, von Płotto aresztował w grudniu dowódcę „piątki” – Wacława Zbrowskiego. Cel ataku doskonale o tym wiedział i stosował środki ochronne. Z racji tego w planach PPS pominięto możliwość ataku bezpośredniego za pomocą rewolweru. Pozostawał atak bombowy.

Jak wyglądały przygotowania do zamachu? S. Werner i S. Rodkiewicz początkowo obserwowali miejsce przejazdu celu w mieście. W międzyczasie przyniesiono napełnioną karbonitem siedmifuntową bombę do mieszkania S. Wenera. Tam również ją złożono. Następnie podjęto pierwszą próbę zamachu. Miało to miejsce 15 grudnia 1906 r. Niestety nie udało się znaleźć pułkownika w Radomiu. Następnego dnia doszło do kolejnej próby. Na zewnątrz panowała sroga zima. Odczuwalna była minusowa temperatura. Wszędzie pod butami skrzypiał śnieg. Nagle

S. Werner niosący ładunek wybuchowy poślizgnął się. Podtrzymał go S. Hempel i podniósł. Zabrał od niego bombę.

„Polscy terroryści” czekali na cel. Przejeżdżał on w mieście o wpół do trzeciej z więzienia do swojej kwatery. O drugiej Werner i Hempel wyszli na ulicę. Gdy znaleźli się na rogu obecnej ulicy Moniuszki i Sienkiewicza, to Werner pozostał w tym punkcie obserwacyjnym. W tym samym czasie Hempel przeszedł na skrzyżowanie obecnej ulicy Sienkiewicza i Piłsudskiego. W oddali było słychać dźwięk dzwonka z obecnego rogu ulicy Moniuszki i Żeromskiego. Przemierzały zamarzną drogą sanki z von Płottem w środku. S. Werner zauważył to. Dał znak machając białą chustką i Hempel wszedł do bramy kamienicy numer 4. Sanie zatrzymały się przed domem pułkownika. Von Płotto wysiadł z obstawą i zobaczył wybiegającego z bramy młodego człowieka. W tym momencie żandarm próbował sięgnąć po rewolwer. Niestety nie zdążył. W tej samej chwili Hempel rzucił pod ich nogi bombę. Doszło do oślepiającego wybuchu. Poszły szyby w pobliskich oknach. Dookoła było słychać huk. Cel zamachu upadł. Von Płotto miał urwaną jedną nogę powyżej kolana. Na jego ciele widać było szarpane rany.

Jak wyglądała sytuacja biorących udział w akcji po eksplozji? Lekko ranny został S. Hempel. Wybiegł on szybko i się ukrył. Dokładnie po wybuchu wbiegł w ulicę Kościelną, następnie w ulicę Traugutta, później dotarł na

Glinice, gdzie wsiadł w nocny pociąg towarowy i wy dostał się z Radomia unikając w ten sposób złapania. Niestety oszołomiony S. Werner wpadł w panikę. Nagle znalazł się koło płotu Nowego Ogrodu i go przeskoczył. Przemieszczał się z impetem w stronę swojego domu. Podczas biegu przez ulicę Skaryszewską zauważył go sędzia śledczy Bazyli Kisielewicz. Następnie wskazał go carskim żołdatom. Schwymano go w domu matki przy ul. Dimitrjewskiej. (Wspomniana obecna ulica Skaryszewska w Radomiu). W czasie rewizji w owym budynku znaleziono 83 naboje do rewolweru. Pistolet S. Werner zdążył wcześniej wyrzucić.

17 grudnia 1906 r. przesłuchiwał go radomski policmajster ppłk. Górski. Podczas badania śledczego pozwolono młodemu bojownikowi na widzenie się z matką. S. Werner przyznał się do przynależności do OB. PPS. Oprócz tego powiedział, że dokonał zamachu wraz ze wspólnie z nieznanym mu z nazwiska „Rafałem”. Tego samego dnia gen. Mjr. Sawickij, przekazał jego los sądowi wojenno-polowemu w Radomiu. Śledztwo i sąd polowy trwał zaledwie trzy dni. Władze carskie uniemożliwiły jakąkolwiek obronę osiemnastolatka. Dnia 19 grudnia 1906 r. skazał on S. Wenera na śmierć przez rozstrzelanie. Datę egzekucji wyznaczono na następny dzień. Przed śmiercią dano mu możliwość napisania ostatniego listu do swojej matki.

Przed egzekucją z rana przysłano księdza do S. Wenera. Towarzyszył mu aż do końca swoich dni. Następnie pięciu kozaków eskortowało karetkę

więzienną, która przywiozła bojowca na miejsce stracenia około godziny 6.30. Gdy dotarli do celu to doszło do komplikacji. Po prostu początkowo wyrok odroczone w czasie, ze względu na mgłę. Dokładnie była ona tak gęsta, że nie można było odróżnić odległości. Stanisław przed rozstrzelaniem pogodzony był ze swoim losem. Żartował z księdzem. Po jakimś czasie zniknęła mgła. Wenera przywiązano do słupa. Stał on na środku polany. Carscy soldaci zawiązali oczy skazańcowi. Kilkanaście kroków na lewo od niego wykopano świeży dół na ciało. Więzień prosił, aby odwiązano mu oczy. Ostatniej jego prośby nie spełniono. Padła pierwsza komenda dana przez kapitana Samsonowa. S. Werner zaczął się modlić. Zagrzmiały trzy salwy. Jedna po drugiej. Oddało ją trzydziestu żołnierzy pułku mohylewskiego. Pierwsze dwie poleciały w górę. Dopiero w trzeciej pociski przeszły przez głowę i pierś Wenera. Następnie jego ciało wrzucono, zakopano i zasypiano ziemią.

W czwartek 20 grudnia 1906 r., o godzinie 7 rano, na skrajnej polanie przy Lesie Kapturskim, rozstrzelano bojowca. W tym samym czasie na znak protestu stanęły wszystkie zakłady przemysłowe. Władze carskie odmówiły oficjalnego pochówku. Rodzina prosiła o to – bezskutecznie. Warto podkreślić w tym miejscu, że po rozstrzelaniu i zakopania zwłok S. Wenera, kozacy rozkopali mogiłę kopytami końmi. Jaki był cel takiego działania? Dokładnie taki, aby w przyszłości nie można było znaleźć

miejsca pochówku. W ten sposób Imperiów Carów chciało uniknąć formy „polskiego kultu bohatera” w przyszłości.

Po opisanu wydarzeń historycznych, warto przejść do analizy postawy S. Wenera, pod kątem przywiązania do narodu. We wstępie mówiliśmy o postawionej tezie, gdzie członkowie PPS łączyli postawy narodowe, socjalistyczne i niepodległościowe. O postawach socjalistycznych i niepodległościowych w formacji PPS nie będziemy za bardzo się skupiać. Interesują nas kwestie uczuć narodowych S. Wenera. Warto je szerzej tu przedstawić.

Pierwszym zdarzeniem, które to potwierdza to łzy, które popłynęły Stanisławowi Wenerowi na pierwszych ćwiczeniach „Piątki Bojowej”. Co było ich powodem? Nie podniecenie z dalszej walki rewolucyjnej, jakby mogło się to na pierwszy rzut oka wydawać. Przyczyną takiego zachowania Stanisława była wydana polska komenda przez przełożonego. Werner słyszał ją pierwszy raz w ojczystym języku.**[1]** Po drugie ważna pozostaje tu postawa podczas przesłuchania. Przyznał się on do przynależności do O.B. PPS i podał fikcyjne imię „Rafał”. **[2]** Co to oznacza? Nie wydał swoich kolegów. Dzisiaj byśmy określili, że „nie był konfidentem”, „zachował się tak jak trzeba”. Drugi uczestnik zamachu, S. Hempel wspominał po latach, że na dobrą sprawę S. Werner posiadał informację np. na temat jego mieszkania, członków bojówek uczniowskich czy osób z organizacji.

Żadnej z tych tajemnic nie zdradził. W konsekwencji tej postawy młodego bojowca nie doszło do dalszych aresztowań i fali represji. **[3]** Trzecią kwestią pozostaje list napisany do matki przed śmiercią. Dokładniej chodzi o jego treść. S. Werner opisywał w nim m.in., że poszedł do spowiedzi przed rozstrzelaniem. Prosił także o pożegnanie się z poszczególnymi członkami rodziny. List też nosi pewną formę testamentu. Ponadto S. Werner opisuje w nim o oddawaniu rzeczy oraz prosi, żeby ojciec mu przebaczył. Na sam koniec pisze on, że nie boi się śmierci i żeby tę informację przekazać dalej. **[4]** Widać w tym źródle emocjonalny spokój i pogodzenie się z losem przez osiemnastolatka. Oprócz tego zauważalne jest w źródle przywiązanie do matki i rodziny. S. Res-Rodkiewicz wspominał po latach, że Werner przed rozstrzelaniem wymówił słowa modlitwy: „Ojcze w ręce Twoje oddaję ducha mojego”. **[5]**

Jak ocenić powyższe zachowania S. Wenera? Widać tutaj przywiązanie do wartości narodowych. Po pierwsze przywiązanie do mowy ojczystej i wrażliwość na nią. Po Powstaniu Styczniowym nadeszły czasy ostrej rusyfikacji w Królestwie Polskim np. w szkole. Bohater tego artykułu na co dzień musiał słuchać języka zaborcy w miejscach publicznych. (Zmieniło się to dopiero w pierwszej fazie Rewolucji 1905 r.) Mowa polska miała być „zepchnięta na bok”. Tutaj podczas opisywanej sytuacji, w trakcie ćwiczeń „Piątki Bojowej”, po usłyszeniu polskiej komendy, poleciały Wernerowi łzy. Takie zachowanie podczas czasu ciemnienia narodu trzeba określić

właśnie mianem przywiązania do wartości narodowych. W końcu język ojczysty to jeden z fundamentów funkcjonowania danej zbiorowości narodowej. Po drugie to kwestia nie wydawania kolegów z konspiracji podczas przesłuchania. Myślę, iż nie trzeba wyjaśniać szerzej współczesnym nacjonalistom, o co chodzi. Postawa ta była dosyć silna wśród uczestników zrywów radykalnych, rewolucyjnych i niepodległościowych wcześniej i później w historii Polski. Trzecia rzecz, na którą trzeba zwrócić tutaj uwagę, to pójście do spowiedzi i modlitwa przed śmiercią. Oznacza to, że S. Werner miał w sobie pokłady przywiązania do religii przodków – katolicyzmu. Pamiętajmy, że nie każdy „robotnik” biorący udział w Rewolucji 1905 r. był osobą wierzącą. Ci uczestnicy Rewolucji 1905 r. np. związani z SDKPiL i m.in. liderką Różą Luksemburg na czele, stanowczo mieli „inne wartości w głowach”. Religia także jest „budulcem narodu”. Podkreślił to swoim czynem, jako rewolucjonista, S. Werner przed swoją egzekucją. Ostatnią kwestią przywiązania do wartości narodowych przez S. Wenera pozostaje rodzina. Przed straceniem pisał w liście do matki, że jest mu żal za sytuację, przeproszał w nim ojca. Ponadto poprosił w liście rodzicielkę, aby ta pozdrowiła rodzeństwo. Rodzina i szacunek do niej to kolejny fundament, do którego człowiek wyznający wartości narodowe będzie odwoływał się w swojej życiowej postawie, zwłaszcza przed śmiercią.

Jak widać z powyższej analizy, uczestnicy Rewolucji 1905 r. związani z PPS, mogli wyznawać wartości narodowe. Przykładem tutaj przedstawiony tytułowy Stanisław Werner. Na sam koniec ciekawostka. Mianowicie zamachu dokonała dokładnie PPS-lewica po podziale partii. To ostatnie miało miejsce w listopadzie 1906 r., a więc miesiąc przed zamachem na von. Płotto. S. Hempel już w tym czasie po przyjeździe do Radomia działał z ramienia „lewego skrzydła”. Teoretycznie przepełnione ono było bardziej internacjonalistycznym programem dopiero od 1908 r. (Ponadto w jej szeregach działali działacze, którzy mieli w zamiarze odzyskać swoją niepodległość. Przykład rozłam PPS-lewicy, po konferencji w Warszawie w 1917 r. Podczas tych obrad głośniej rozmawiano na tematy internacjonalistycznej proletariackiej rewolucji, a nie na temat niepodległości dla Polski. W wyniku tych rozmów doszło do „wyłamu” w PPS-lewicy. Dla przykładu środowisko ludzi związanych z Antonim Szczerkowskim powróciło do macierzy PPS-FR, określającej się już jako PPS. Reszta związana z PPS-lewica w 1918 r. wraz z SDKPiL utworzyła Komunistyczną Partię Polski). W praktyce w jej szeregach znajdowali się ludzie, dla których niepodległość i przywiązanie do narodu było ważne. We wspomnieniach S. Res-Rodkiewicza, uczestnika tamtych wydarzeń wynika, iż „bojowcy z handlówki” zafascynowani byli personami i postaciami Powstania Styczniowego. Oprócz tego nie jest też jasne to, czy S. Werner w trakcie zamachu wiedział o tym, że działa w strukturach PPS-

lewicy i zamach wykonuje z jej ramienia. W słowie końcowym skupimy się na upamiętnieniu tej lokalnej radomskiej postaci historycznej. Pośmiertnie odznaczono S. Wenera Krzyżem Niepodległości z Mieczami. Dokładnie miało to miejsce 19 grudnia 1930 r. Obecnie imię S. Wenera nosi Hufiec ZHP Radom-miasto. W ramach uczczenia męczeńskiej śmierci tego młodego człowieka, ustanowiono jedną z ulic w mieście, która ostatecznie prowadzi do początku Lasu Kapturskiego, gdzie go rozstrzelano. Do dzisiaj nie jest znane miejsce pochówku, ze względu na rozkopanie jego mogiły przez carskich kozaków. W przypuszczalnym miejscu rozstrzelania postawiony został kamień pamięci.

Patryk Płokita

Przypisy:

[1] S. Res-Rodkiewicz, „Wspomnień kilka o Stanisławie Wernerze, bojowcu z Radomia”, [w:] „Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce”, Nr 4(12) październik-grudzień 1937, s. 238.

[2] „Sprawa Stanisława Wenera (Z akt dawnej kancelarii generał-gubernatora warszawskiego)”, [w:] „Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce”, Nr 1(17) styczeń-marzec 1939, s. 47.

[3] S. Hempel, „Wspomnienia bojowca”, [w:] „Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce”, Nr 1(13) styczeń-marzec 1938, s. 17.

[4] „List Stanisława Wenera z więzienia”, [w:] „Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce”, Nr 1(13) styczeń-marzec 1938, s. 51-52.

[5] Res-Rodkiewicz S., „Uczniowskie piątki bojowe w Radomiu: 1905-1907”, 1936, maszynopis, s. 4.

Bibliografia:

Kalabiński S., Feliks Tych, „Czwarte powstanie czy pierwsza rewolucja: lata 1905-1907 na ziemiach polskich”, Wiedza Powszechna, Warszawa 1976.

„Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce”, Nr 4(12) październik-grudzień 1937.

„Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce”, Nr 1(13), styczeń-marzec 1938.

„Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce”, Nr 1(17) styczeń-marzec 1939.

Niemczyk M., „»Lepka purpura łódzkich kwiatów« – niełatwa historia rewolucji 1905 r.”, [w:] „Szturm” nr 21, czerwiec 2016. <<http://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/385-lepka-purpura-lodzkie-kwiatow-nielatwa-historia-rewolucji-1905-roku>>, (dostęp 28.01.2016r.)

Płokita P., „Cierpienie Młodego Wenera”, „Szturm” nr 7, kwiecień 2015.
[w:] <<http://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/168-cierpienie-mlodego-wenera>>, (dostęp 28.01.2016r.)

Res-Rodkiewicz S., „Uczniowskie piątki bojowe w Radomiu: 1905-1907”,
1936, maszynopis [w:] Radomska Biblioteka Cyfrowa:
<<http://bc.radom.pl/dlibra/docmetadata?id=1874>> (dostęp 25.01.2018
r.).

Kacper Sikora – „Imperializm”



Geneza

Na drodze wstępu, zjawisko to jest bardzo szerokie i nie występuje tylko w kategorii politycznej, ale również ekonomicznej. Sam imperializm wbrew temu co się powszechnie uważa, nie rozpoczął się w XIX wieku. Jego początki sięgają zamierzchłych czasów starożytnych.

Jednym z podręcznikowych przykładów państw imperialistycznych, jest twór państwowy znany powszechnie pod nazwą Imperium Perskiego. Zaczęło ono powstawać już w 600 roku p.n.e. Od podboju sąsiedniej Asyrii.

Pomimo początkowej zależności od innych ludów, mam tu na myśli Medów oraz Babilończyków, trzeci władca z panującej dynastii Achemenidów – Cyrus II Wielki, poradził sobie z tym problemem. W późniejszym okresie tereny państwa Perskiego poszerzyły się o Egipt, ziemie zamieszkałe przez Scytów, Anatolię a nawet tereny Indii. Tak czy inaczej ustrój który panował w pierwszym imperium starożytnego świata można śmiało nazwać monarchią. Na czele ogromnego państwa stał szach-in-szach, czyli Wielki Król, posiadający nieograniczony zakres władzy. Jego rządy sankcjonowała zresztą religia. Przeto nic zaskakującego w fakcie, że władcy perscy, zwłaszcza w początkowym okresie istnienia państwa, służyli z tolerancją wobec innych społeczności, narodów i religii. Wielki Król nie zabraniał podbitym ludom wyznawania swych rodzimych religii, wręcz przeciwnie, dokładał wszelkich starań, aby poddani Persji, mogli żyć w spokoju. Imperium Achemenidów składało się z niewyobrażalnej liczby państweczek, plemion i miast-państw, którym pozwolono zachować autonomię, pod warunkiem corocznego wpłacania na rzecz Wielkiego Króla daniny o stałej, wcześniej ustalonej wielkości (w zależności od możliwości finansowych danego regionu lub prowincji) i obietnicy dostarczania armii perskiej kontyngentów wojsk. Ażeby zarząd rozległym państwem stał się bardziej sprawny, władca perski wprowadził podział imperium na satrapie/prowincje, którymi zarządzali podlegli królowi namiestnicy, zwani satrapami. Ogrom państwa perskiego zadziwia

i dzisiaj. Historyków fascynuje zwłaszcza kwestia, jak władcy perscy zdołali utrzymać tak rozległy obszar pod swą władzą. Armia perska w zasadzie była nieliczna, a pospolite ruszenie nie przedstawiało realnej siły, co udowodnił m. in. Ksenofont, a później Aleksander Wielki. Elementem spajającym różne ludy Persji był na pewno język aramejski. Stał się on językiem międzynarodowym, którym posługiwano się nie tylko w administracji wewnątrz państwa, ale i na co dzień. Jeden wspólny język dawał możliwość awansu społecznego, a także możliwość dogadania się z przedstawicielami innych ludów, np. podczas zawierania transakcji handlowych. Również pobór podatków sprzyjał istnieniu imperium, bowiem warstwy arystokratyczne, którym władca powierzał to zadanie, zainteresowane były pozyskiwaniem jak największych bogactw kosztem podległej sobie ludności. Co ciekawe, administracja perska w zasadzie była również dostępna dla każdego ambitnego przedstawiciela ludów wchodzących w skład państwa. Poza najważniejszymi stanowiskami przy dworze władcy oraz obsadzaniem ważnych strategicznie satrapii przez ludzi oddanych monarsze, pozostałe miejsca w administracji stały otworem dla każdego, nie ważne czy był Persem, Żydem, Baktrem, itp. Liczyła się nie tylko lojalność wobec władcy, ale i skuteczność w wykonywaniu jego rozkazów. Najważniejsze jednak było to, iż władza Achemenidów dała Bliskiemu Wschodowi błogi pokój. Dotąd świat bliskowschodni targany był regularnymi walkami pomiędzy kolejnymi

pretendentami do hegemonii. Spokój zapewniony przez armię perską na obszarze od Azji Mniejszej po Indus, i od Egiptu po Kaukaz oraz od Oceanu Indyjskiego po stepy nad Amu-darią i Syr-darią, przyczyniły się do rozwoju gospodarczego. Dobra sieć dróg umożliwiała i usprawniała komunikację między kupcami z najodleglejszych nawet stron imperium, a tym samym sprzyjały rozpowszechnieniu się różnych zdobyczy kulturalnych i technologicznych na zacofanych dotychczas terenach. Tak więc, np. w międzyrzeczu Syr-darii i Amu-darii, zapoczątkowano budowę podziemnych systemów irygacyjnych, nie tylko umożliwiających uprawę roli, ale również magazynujących wodę i zabezpieczających przed jej wyparowaniem. Z systemu tego korzystano aż do XIX wieku! Władcy starali się również sprzyjać kontaktom handlowym. Dariusz Wielki dokończył budowę kanału łączącego Nil z Morzem Czerwonym, co znacznie ułatwiło wymianę handlową pomiędzy Arabią i Indiami, a Egiptem i dalej Syrią. Istnieją spory, czy w okresie dynamicznego rozwoju władcami Imperium Perskiego kierowała tak zwana polityka imperialna. Można jednak ze śmiałością stwierdzić iż na całe wieki zapanował w tamtym regionie spokój, któremu towarzyszył dynamiczny rozwój gospodarczy. Przy jednolitej polityce monetarnej, imperializm ekonomiczny, jak na tamte warunki, istniał tam bez wątpienia. Kres tego Imperium nastąpił po wielu latach bojów wraz z grecką armią, gdy Aleksander Macedoński zabija ostatniego przedstawiciela dynastii,

Dariusza III i tym samym oficjalnie przejmuje ogromny organizm państwowy, tworząc własne Imperium. Co powinno zaintrygować, sposób zarządzania Aleksandra nie zmienił się. Może dlatego że był tak zaabsorbowany kolejnymi podbojami? Kto wie, tak czy inaczej rządzeniu nie poświęcał tyle czasu ile powinien, co po jego śmierci doprowadziło do wielkiej wojny domowej między jego towarzyszami broni. Nie można więc w tym przypadku mówić o jakimkolwiek imperializmie niestety.

Elementy i cel sam w sobie

Sam w sobie imperializm zawierał proste elementy. Państwo podbijając, narzucały swój język innym podbitym krajom, lub prowadziły politykę nastawioną na większą tolerancję, ustanawiając swój język pierwszym językiem urzędowym. To samo tyczy się kultury, była narzucana kultura najeźdźców lub respektowano kultury krajów podbitych. Różniły się też sposoby administracji, choć pojęcie satrapi, jakie wprowadziło Państwo Perskie, zmieniło się jedynie w wykonaniu Rzymian na „prowincje”. Co do kwestii wojska, wiadomym faktem jest iż z czasem rozrastania się Imperium, to wojsko macierzyste górowało nad formacjami ludów podbitych. Ważną kwestią była też gospodarka. Wiadomym było iż ujednolicona waluta ułatwiała jej rozwój. Jaki był i jest cel imperializmu, a raczej tego rodzaju polityki prowadzonej przez dane państwa? Tylko jeden. Realizowanie swoich interesów, poprzez podbój i podporządkowywanie, lub też całkowite wchłanianie innych organizmów

państwowych. Dziś jednak bardziej skutecznym środkiem od pogróżek lub demonstrowania siły w sposób militarny, stała się ekonomia, dzięki której państwo może zabezpieczyć sobie pozycję imperium. Choć nie bez racji jest powiedzenie, że wojna jest największym katalizatorem gospodarki, trzeba przyznać jednak, że już samą silną gospodarką można zdziałać naprawdę wiele.

Czy więc warto? Możliwy jest Polski Imperializm?

Oczywiście że tak. Imperializm sam w sobie nie jest zły, gdy pochodzi się z państwa które osiągnęło lub posiada pozycję mocarstwa światowego (Państwa Imperialnego). Zawsze mnie zastanawiało dlaczego my Polacy tak nienawidzimy Imperiów. Związku Radzieckiego, Imperium Brytyjskiego, czy Francuskiego lub też niemieckiego (III Rzesza i Państwo Pruskie). Doszedłem do prostego wniosku. Z czystej zazdrości. Choć my, jako Polacy, mieliśmy mocny epizod historyczny kiedy to Rzeczpospolita Obojga Narodów była może nie na skalę światową, ale europejską - państwem Imperialnym. Mam tu na myśli okres od wielu XV do pierwszej połowy XVII. Wtedy mieliśmy silną gospodarkę, mądrą politykę zagraniczną, dobrze wyszkolone wojsko, lecz niestety demokrację szlachecką, która doprowadziła sama w sobie do upadku tego państwa. Mam na myśli oczywiście tu trzy rozbiory, do których doprowadziła nas szlachta. Od czasu gdy odzyskaliśmy niepodległość, podświadomie pragnęliśmy powrotu czasów, kiedy to My jako państwo rozdawaliśmy

karty, a nie graliśmy jak nam kazano. Niestety późniejsza jak i obecna polityka wewnętrzna, gospodarcza oraz zagraniczna (uznawanie suwerenów: ZSRR, USA) czy pozostawanie w strukturach Unii Europejskiej, nie pozwala na realizację tego typu marzeń. Dopóki nie będzie skutecznej dalekosiężnej polityki społeczno-gospodarczej oraz przemysłanej polityki zagranicznej, imperializm w Polskim wydaniu nigdy nie zostanie zrealizowany.

Michał Szymański – „Posła Winnickiego walka z nacjonalizmem”



Od kilku dni trwa festiwal, którego skali absurdu opisać nie sposób. Średnio raz na kilka lat jedna z telewizji, w swoim programie interwencyjnym, lubiła puścić reportaż o nacjonalistach, nazistach, skinheadach bądź innym tego typu środowisku. Ostatni materiał został jednak puszczony w najlepszym możliwym czasie antenowym, bo w sobotę wieczorem, przez TVN24, a atmosferę podgrzano zapraszając gości do studia. W ten oto sposób kilkusobowa grupka (nie obrażając nikogo) średnio rozgarniętych osób, będących tak zagorzałymi czcicielami Adolfa Hitlera, że hymn SA "Die Fahne hoch" bohaterowie nagrania odśpiewali z kartki, w dodatku z umieszczonym na niej fonetycznym zapisem pieśni. Czy bardziej absurdalną jest zarejestrowana przez dziennikarzy sytuacja, czy też rozpętanie wokół tej maskarady burzy, w ramach której

wypowiedziały się już chyba wszystkie najważniejsze osoby w państwie, to ciężko ustalić.

Niestety, swoje trzy grosze postanowił dorzucić poseł Robert Winnicki (któremu rykoszetem dostało się za całą tę sytuację, wszak medialny koncert stworzył odpowiednie połączenie, z którego jasno wynikało, że od paradujących w mundurach Wehrmachtu i SS neonazistów poprzez nacjonalistów aż do Roberta Winnickiego, jest całkiem niedaleka droga), który wraz z Krzysztofem Bosakiem na konferencji prasowej zapowiedzieli, że należy dokonać zmian w Kodeksie karnym, a ściślej rzecz ujmując w art. 256 kodeksu karnego. Jest to rzecz, moim zdaniem, alarmująca.

Jeśli ktoś jakimś cudem nie wie, czym jest ów przepis, to wyjaśnijmy, że jest to standardowy w państwach europejskich artykuł z ustawy karnej służący do walki z tzw. mową nienawiści oraz "faszyzmem". Oczywiście, w zależności od państwa, jest on mniej lub bardziej restrykcyjny i mniej lub bardziej wykorzystywany do zwalczania środowisk narodowych, te z kolei bardzo często domagają się jego zniesienia. W polskim przypadku mamy do czynienia, w paragrafie 1 niniejszego kodeksu do czynienia z penalizacją bądź to publicznego propagowania "faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju" bądź z nawoływaniem do "nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość". W przypadku drugiej części niniejszego przepisu

możemy mówić, w gruncie rzeczy, o dużym szczęściu gdyż w zagranicznych realiach unormowania mają charakter o wiele bardziej restrykcyjny i bądź to rozszerzane są również na osoby LGBTQ(i kolejne literki których, niestety, już nie znam), bądź to określane po prostu mianem szerzenia nienawiści, co można rozszerzyć... no w zasadzie na wszystko. Co więcej, nasze szczęście polega na tym, że choć od lat środowiska liberalne przebąkują o konieczności dopisania do tej wyliczanki "nienawiści" na tle różnic seksualnych, to od wielu lat nikt tego przepisu w zasadzie nie zmieniał (z wyjątkiem, co ciekawe, pozytywnej zmiany dokonanej przez Trybunał Konstytucyjny w paragrafie 2, o którym mowa niżej).

No i ten przepis, żeby załapać plusy w politycznych notowaniach, postanowił zmienić poseł Winnicki. A przynajmniej zaproponować projekt ustawy zmieniającej kodeks karny.

Projekt ustawy ROZSZERZAJĄCEJ penalizację. No bo, wiadomo, Polacy, a zwłaszcza narodowcy, są ofiarami totalitaryzmów i takie tam.

Zanim zajmiemy się pomysłami pana posła, przypomnijmy, na czym polega problem. Otóż, nawet w doktrynie prawniczej zauważa się, że brzmienie przepisu "propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju" jest bardzo nieostre, a przepisy prawa karnego powinny charakteryzować się jak największą precyzją. W przeciwnym razie obywatel nie tylko, że nie wie, czy swoim zachowaniem nie popełni

przestępstwa, ale czy przy aktualnej atmosferze politycznej ktoś nie postanowi uznać jego czynów właśnie za "propagowanie innego ustroju zabronionego".

Pomińmy już w ogóle dyskusje na temat tego, czy włoski faszyzm miał charakter totalitarny czy też nie, bądź też czy nacjonalizm przedwojennego ONR-u, Żelaznej Gwardii, hiszpańskiej Falangi itd. miały charakter "faszystowski". Wystarczającym polem do nadużyć jest wszak sformułowanie "inny [niż faszystowski] ustrój państwa", co niekoniecznie musi oznaczać hitlerowski narodowy socjalizm czy komunizm, ale również może zostać rozciągnięte na wiele, wiele innych tradycji politycznych i ustrojowych. W dyskusji nad brzmieniem tego przypisu wskazywano, że traktując go bardzo szeroko grozi nam sytuacja, w której do więzienia trafić można za pochwałę ustroju Iranu a nawet... zaproponowanego przez Platona w "Państwie" hierarchicznego państwa filozofów.

Praktyczne zastosowanie tych przepisów to wiele spraw wytaczanych polskim nacjonalistom za falangi, krzyże celtyckie, saluty rzymskie, ale również przekreślone symbole sierpa i młota. Myślę, że najbardziej skandalicznym jest, z punktu widzenia ludzkiej przyzwoitości, jest fakt, że były prezes Młodzieży Wszechpolskiej chce zaostrzać przepisy, które kilka lat temu skierowano przeciwko wszechpolakom. Przypomnijmy, że w 2014 roku, z niewiadomych przyczyn, jakoś na Marszu Niepodległości

wyparowały charakterystyczne szturmówki z Mieczem Chrobrego. Niedługo później na YouTube'ie odnaleźć można było film, zamieszczony przez jednego z działaczy MW, na którym widać policjantów "trzepiących" jeden z wielu busów wiozących do stolicy nacjonalistów a następnie rekwirujących organizacyjne flagi. Gdy jeden z wszechpolaków, oburzony, poprosił o podanie podstawy prawnej, policjant wypowiedział magiczne słowa - 256 k.k.

Pomysły posła Winnickiego są następujące. Chce on dodać przepis, który zakładać będzie, że "kto propaguje, oddaje cześć lub w inny sposób tworzy kult przywódców totalitarnych państw i formacji: Adolfa Hitlera, Józefa Stalina, Włodzimierza Lenina i Stepana Bandery, podlega karze grzywny, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2". Pan poseł chyba już zorientował się, jak wielki błąd uczynił w pierwotnym projekcie, gdyż brzmiał on "tworzy kult przywódców totalitarnych państw i formacji, W SZCZEGÓLNOŚCI...". Sformułowanie to sprawiałoby, że przepis ten nie ograniczałby się tylko do owej czwórki, lecz także do innych postaci. Kto wie, może chodziłoby o przywódcę totalitarnej formacji SS Heinricha Himmlera albo o szefa CzeKa Feliksa Dzierżyńskiego? Ale kto wie, może, zgodnie z logiką niektórych przedstawicieli organów ścigania i polityków, do więzienia można byłoby trafić np. za kult Corneliu Codreanu, Jose Antonio Primo de Rivero bądź Leona Degrelle'a, gdyż według niektórych historyków byli to "faszyści", a skoro "faszyści" to

zapewne liderzy takich "totalitarnych formacji" jak Żelazna Gwardia, Falanga czy Christus Rex (że już nie wspomnę o Legionie Walońskim). Kto wie, być może prof. Jacek Bartyzel za swój słynny cichy toast za obrońców Berlina walczących w francuskim Legionie "Charlemagne", powinien (jeśli zdecyduje się kontynuować praktykę) trafić do celi? Dość zabawnym jest fakt, że Robert Winnicki z pewnością otacza ogromnym szacunkiem generała Franco, którego rządy w pierwszych latach miały charakter dotkliwie represyjny i zapewne niejednen historyk powołany przez sąd jako biegły powiedziałby, że Robert Winnicki, mówiąc głośno o wielkości Caudillo, złamał przepisy, które sam wymyślił. O tym, że ksiądz Pawski, spowiednik Bolesława Piaseckiego, wymyślił ideę "katolickiego totalizmu", a liderowi Ruchu Narodowo-Radykalnego, głoszącego wszak wizję "katolickiego państwa narodu polskiego" idea ta z pewnością się podobała, nie muszę chyba również nikomu przypominać.

Szczęśliwie, przynajmniej na razie, pan poseł postanowił wyciąć to nieszczęsne sformułowanie i ograniczyć się do tej czwórki. Nie sposób zapytać - dlaczego akurat oni, a nie np. Bolesław Bierut? Oczywiście, rozumiem, że chodziło o przywódcę III Rzeszy, przywódcę Rosji bolszewickiej, ZSRR podczas II wojny światowej oraz lidera OUN-B (choć tutaj można byłoby delikatnie wspomnieć, że myśl ustrojowa OUN była dość podobna do wielu ruchów narodowo-radykalnych, więc nie byłoby żadnych przeciwwskazań, by kiedyś posłowie dopisali do tej wyliczanki

również Bolesława Piaseckiego), nie mniej jednak lista ta jest szalenie wybiórcza i niekompletna, uznaniowa. Jeśli bowiem przyjąć kryterium "rachunku krzywd", według którego chcemy karać za kult osób (rozumiem, że chodzi o jakiś ołtarzyk w domu?), które dokonywały zbrodni na narodzie polskim, to musielibyśmy dopisać również Hansa Franka jako generalnego gubernatora, całą wierchuszkę ZSRR z Mołotowem, Bериą czy dowódcami Armii Czerwonej, Kłym Sawura jako głównego kreatora rzezi wołyńskiej, dowódców Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego... i tak można wymieniać w nieskończoność. W moim odczuciu jest to przepis napisany totalnie niezgodnie z techniką legislacyjną, tak niedbały, że pomijający słowo "publicznie", które znamy z art. 256 par. 1, a wówczas boję się nawet myśleć, jak tragiczne mogą być skutki jego wprowadzenia. Bo co oznacza "oddawanie czci"? Posiadanie książek o III Rzeszy łapie się pod "oddawanie czci" Hitlerowi? Za "Wojnę Hitlera" Irvinga albo jego biografię pióra Iana Kershawa będzie można iść siedzieć? A może za sformułowanie, że "Hitler był lepszy od Stalina", że "należało iść z Niemcami na Związek Sowiecki", co przecież jest już nie kontrowersyjną tezą historyczną lansowaną wyłącznie przez niepokornego profesora Wieczorkiewicza, ale od kilku lat dopuszczalnym w debacie historycznej stanowiskiem, wygłaszanym także na centroprawicy. Poseł Winnicki zapewne marzy też o tym, że wysłać Grzegorza Motykę za kratki, bo ten pisząc o Wołyniu przypomina, że w czasie rzezi Bandera to akurat siedział w Sachsenhausen.

A kto wie, może to już niedaleka droga do "tworzenia w inny sposób kultu"?

Oczywiście, na pewno nikomu popierającemu takie rozwiązania, w ramach czarnego poczucia humoru, nigdy nie zdarzyło się nikomu zaśpiewać jakiejś przyśpiewki, w której padałyby ciepłe słowa pod kierunkiem któregoś spośród wymienionych totalitarnych przywódców, może jednak jakiś młody działacz narodowy takim głupkowskim poczuciem humoru się wykazuje a lex Winnicki wysłać go może za kratki. W to, że poseł Winnicki nie śpiewał nigdy takich piosenek, wierzę z całego serduszka, przecież nie napisałby prawa, które sam łamał, bo to byłaby skrajna hipokryzja.

Pomijając już kwestie praktyczne (niektóre przykłady, oczywiście, przejawiam, acz z drugiej strony, doświadczenie życiowe pokazuje, że organy ścigania wykazywały się dużą inwencją twórczą przy interpretacji obowiązujących już aktualnie przepisów) - oczywiście, cała czwórka dokonywała zbrodni na narodzie polskim a zachowanie kretynów z lasu oburza (no dobrze, przede wszystkim śmieszy, ale to wina ich wyjątkowego nieogarnięcia), nie mniej jednak postulat rozszerzenia przepisów ustawy, która jest nagminnie wykorzystywana przeciw nacjonalistom, nawet w sposób, który mógłby wynikać ze szlachetnych, patriotycznych pobudek, w taki sposób, który rozszerza jego stosowanie (nawet o tego Lenina i Stalina - w sumie ciekawe, idąc za ciosem, czemu poseł Winnicki nie postanowił

wziąć się za Che Guevarę?) jest zakładaniem pętli na szyję sobie, a już na pewno dawnym kolegom z środowiska. Skoro dziś Hitler i Bandera, to czemu jutro nie Dmowski?

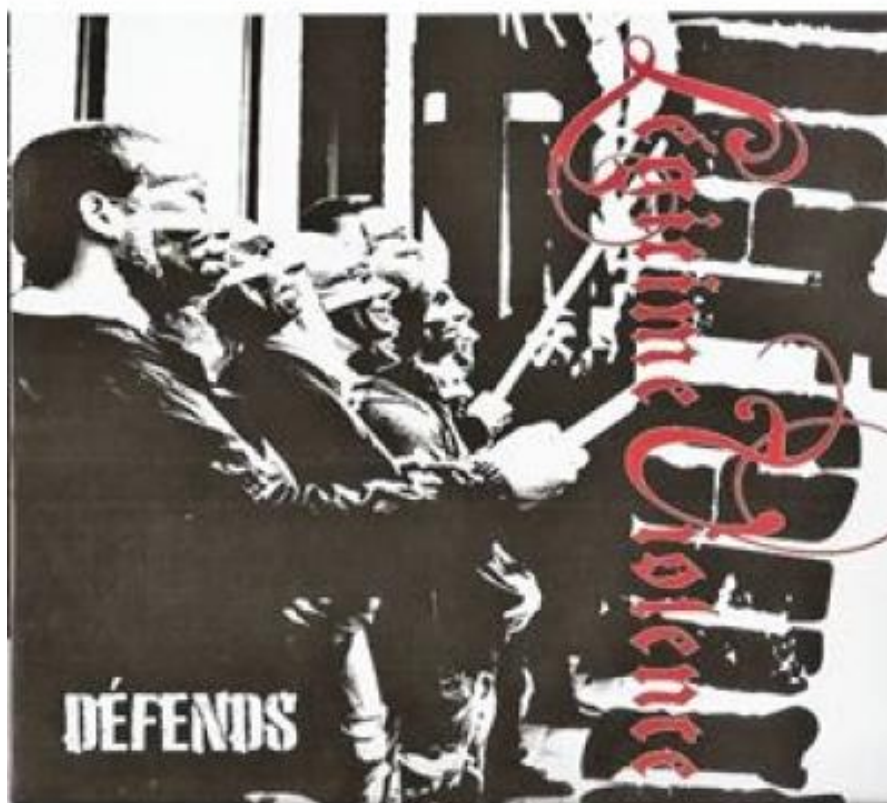
Częściowo uspokoić można środowisko, które zarzuciło Winnickiemu, że chce karać również za posiadanie wlepek. Jest to nie do końca prawda. Projekt ustawy mówi, że art. 256 par. 2 miałby otrzymać brzmienie "tej samej karze podlega, kto w celu rozpowszechniania produkuje, utrwala lub sprowadza, nabywa, przechowuje, posiada, prezentuje, przewozi lub przesyła druk, nagranie lub inny przedmiot zawierający treść określoną w par. 1 i 1a". Oznacza to tylko i wyłącznie dopisanie do tego przepisu końcówki "i 1a". Wbrew przeświadczeniu wielu, Trybunał Konstytucyjny uchylił jedynie fragment "...albo będące nośnikiem symboliki faszystowskiej, komunistycznej lub innej totalitarnej". Oznacza to, że materiały, które służą np. propagowaniu faszyzmu już aktualnie są podstawą do skazania.

Jaki powinien być więc stosunek nacjonalistów do 256 k.k.? Oczywiście, jak najbardziej negatywny. Jeśli już poseł Winnicki uważa, że koniecznie należy przeciwdziałać szalejącemu w Polsce hitleryzmowi, to mógł zaproponować jego reformę w duchu, przykładowo, zredagowania art. 256 par. 1 kodeksu karnego w sposób, chociażby, "kto publicznie propaguje wprowadzenie w Polsce ustroju totalitarnego wzorowanego na reżimie III

Rzeszy lub Związku Radzieckiego...". W ten oto prosty sposób wykluczyłby karanie nie tylko za "faszyzm", ale i (jak się w praktyce okazuje) nacjonalizm, a przy okazji złapałby punkty w sondażach. Niestety, tej mądrości panu posłowi zabrakło.

Michał Szymański

Antisocial Zine – „Legitime Violence – Defends (2017)”



Dwa lata przyszło nam czekać na nowy album Legitime Violence. Jak sami muzycy podkreślają - nie śpieszą się, są bardzo krytyczni wobec swojej twórczości i tak jak w przypadku poprzednich płyt, na długo przed premierą kolejnego krążka wypuszczali w sieć promo w postaci jakiegoś klipu (w tym przypadku do zeszłorocznego "Still Rock'N'Roll"). Poza tym należy dodać, że członkowie zespołu na co dzień zajmują się różnymi rzeczami, mają swoje obowiązki, także nie wszystko idzie w parze, tak jak można byłoby to sobie wymarzyć (wokalista Raf pracuje w fabryce i trenuje MMA, podobnie jak Ben, który poza pracą w fabryce uczy też muzyki...)

"Defends" bo tak brzmi najnowsza propozycja chłopaków ze Quebec został wydany w formie digipacka w ilościach 500 sztuk dzięki Hostile Class Production (w ramach ciekawostek dodam, że pracuje tam Polak). W środku znajdziemy 12-stronicową książeczkę i 11 piosenek. Jeśli chodzi o muzyczną zawartość, to oprócz autorskich kawałków, są też kowery "Das Kapital" In Memoriam i "Come Il Vento" grupy Intolleranza, które zresztą możecie posłuchać na You Tube. W porównaniu do poprzednich dokonań panowie tutaj trochę zwolnili z tempa i bardziej postawili na jakość, dzięki temu materiał brzmi dojrzałe. Sporo tutaj eksperymentów brzmieniowych możemy uświadczyc, jednak w dalszym ciągu jest to doskonale znana nam stylistyka wypracowana na przestrzeni wielu lat, ale nie wymykająca się jakoś specjalnie z ramek, które kurczowo trzyma się Legitime Violence i dobrze. Tematyka utworów dotyczy różnych spraw od życia codziennego do np. działalności w organizacji Atalanta Quebec ("Atalanta"). Z całą pewnością do gustu powinien przypaść polskim słuchaczom numer o tajemniczym tytule "B.O.V." bowiem nazwa tego skrótu wywodzi się od "Brotherhood Of Violence" i jak sam gitarzysta Ben Stomper wspominał, jest to wynik unii i wzajemnego wsparcia między Quebec Stomper Crew i ekipy polskich braci z Nowego Jorku. Dodam od siebie tylko, że w "B.O.V." również na wokalu udziela się Polak (warto w tym miejscu przypomnieć sobie klip do "Wrecking Crew" gdzie możemy ujrzeć polskie twarze i specjalnie wyprodukowane na tę okazję koszulki B.O.V.). Oceniając

całokształt "Defends" jest to po prostu godna kontynuacja bardzo udanego "Rock Haine Oi!", choć czasami mam wrażenie, że brakuje w nim momentami takiego pierdolnięcia jak w "ARA" czy "Non Jamais"...

CD jest już dostępne w Europie (między innymi w Martelente).

Tommy

Antisocial Zine – „Moshpit – An Eternal Torch Can Light a Million (2017)”



Rok 2017 pod względem wydawniczym należy zaliczyć do udanych, a jedną z najbardziej szumnie zapowiadanych pozycji był trzeci w dorobku album jednego z głównych i aktywnych przedstawicieli nurtu NSHC - Moshpit, który ukazał się w grudniu pod tytułem "An Eternal Torch Can Light A Million" wydany znów w barwach niemieckiej wytwórni OPOS Records. Jakby tego było mało, to jeszcze w tym samym roku Loyalty Records postanowiło wypuścić na rynek ponownie CD nieistniejącej już węgierskiej grupy Voice Of Justice - "Eruption Of Hate", który pierwotnie ujrzał

światło dzienne 9 lat temu, więc jest to nie lada gratka dla fanów twórczości wokalisty Koppany Pap.

W ciągu 17 lat istnienia na scenie, Moshpit nie ma zbyt wiele się czym chwalić jeśli chodzi o dyskografię studyjną, ale gdy na horyzoncie pojawia się nowy materiał, to jednego można się po nich spodziewać - że będzie to kolejny krok milowy w ich karierze muzycznej i nie inaczej jest w przypadku "An Eternal Torch Can Light A Million". Zespół nie stoi w miejscu i cały czas stara się szukać różnych źródeł inspiracji, a dzięki niebanalnym urozmaicheniom w kompozycjach - brzmią one świeżo i nie będzie chyba przesadą, jeśli napiszę, że Moshpit jest jednym z tych bandów, które trzymają wysoki poziom, gdzie z płyty na płytę stawiają coraz wyżej poprzeczkę. Oczywiście nie łatwo było mi na początku przekonać się do takiego grania, dlatego, że głównie wychowałem się na oldskulowych dźwiękach niż nowoczesnych brzmieniach jakich pełno na "An Eternal Torch Can Light A Million". Ciężkie, charakterystyczne metalowe riffy doskonale współgrają z bardziej śmiałościami, melodyjnymi partiami gitarowymi ("Overcome", "Eternal Torch", "Voice Of The Weak") plus do tego idealnie wpasowane w danych momentach pomieszane wokale od typowego, hardcorowego darcia japy kończąc na growlowaniu i czystego śpiewu. Panowie nie jadą na jedno kopyto i co rusz mamy zmiany tempa, raz szybciej raz wolniej, a innym razem niespodziewanie wkracza jakiś rytmiczny "połamaniec", który dodaje fajnego smaczku wybranym

kawałkom. Na koniec miła niespodzianka w postaci akustycznej wersji znanej piosenki "Phoenix" z poprzedniego krążka. Naprawdę ciężko mi wskazać tutaj jakiegoś konkretnego faworyta, ponieważ "An Eternal Torch Can Light A Million" nie ma słabych punktów.

Moshpit tym dziełem udowodnił, że wciąż jest jednym z podstawowych filarów dzisiejszego NSHC.

Antisocial Zine

Otto Auslegen – „O współczesnej sztuce nacjonalistycznej słów kilka”



I

Czym byłby jakikolwiek ruch polityczny, czy społeczny, bez swojej sztuki i symboliki? To one są w stanie natchnąć istniejących już członków, ale i zarazem zachwycić osoby „spoza kręgu”. Nawet spróbować je rekrutować w swoje szeregi. Od zarania dziejów, każda ideologia i filozofia ciągnie ze sobą sztukę. Zaczynając od XVIII i XIX wiecznych rewolucjonistów, przez komunizm, faszyzm, nazizm, na beatnikach, skinach i punkach kończąc. Sztuka jest spoiwem, bez którego wiele tych ruchów byłoby pozbawionych swojego koloru i wyglądu. Bez niej wymienione grupy, prądy, ideologie i subkultury, nie przyciągnęłyby takiego zainteresowania i ciekawości opinii publicznej. Czy możemy sobie wyobrazić polskich powstańców listopadowych czy styczniowych bez ducha romantyzmu? Czy komunizm

nie kojarzy się jednoznacznie z chórem Aleksandrowa i popularną pieśnią Katuszą? Czy faszyzm nie jest po prostu polityczną formą futuryzmu? Czy nazizm nie nasuwa od razu pompatycznych marszy i cudnie oświetlonych przez Alberta Speera hal, na których przemawiał Adolf Hitler?

Ostatnie czasy pozwoliły na wzrost popularności nacjonalizmu. Widać, że wychodzi on powoli z ukrycia, ze swojego „skołtunienia”. Zauważalna jest też znaczna popularność zachodniego ruchu „Alt-Right”, oraz powstawania nowych ruchów nacjonalistycznych w Polsce. Wraz z nimi nadeszła „nowa fala” zainteresowania na wszystko to, co z tym nacjonalizmem związane – w tym ze sztuką. Zaczęliśmy więc odchodzić od „śmiesznych grafik” robionych prawdopodobnie w paint’cie, przechodząc do już nieco kiczowatych dzisiaj bluz z wilkiem czy husarią, lub nieco bardziej estetycznych grafik czy muzyki. Do niedawna te ruchy były skupione głównie wokół muzyki RAC, ze względu na dużą ilość skinheadów. Czasy jednak się zmieniają i do ludzi, którzy z ruchem zaczęli się identyfikować, taka estetyka już nie przemawia. Ruch potrzebował czegoś nowego, tchnienia świeżości, równocześnie jednak skorelowanego z przeszłością i tradycją. Odpowiedzią był – „Fashwave”.

II

Strony na facebooku, instagramie czy tumblerze zaczęły postować, dla niektórych dziwne, dla niektórych ładne i świeże barwne grafiki. Emanują

one dużą gamą kolorów i estetyką lat 80 XX w. Łączą przy tym jasny i klarowny nacjonalistyczny przekaz. Wielu ludzi widząc ten rodzaj sztuki pukało się w czoło, śmiejąc się, że rzucający się od razu w oczy neonowy fiolet i róż nie jest „true”. Nie dostrzegali potężnego potencjału w tej paradoksalnie ortodoksyjnej i tradycjonalistycznej sztuce. Ale od początku.

Czym jest „Fashwave”? Jest swojego rodzaju syntezą między tradycyjną formą, a rozczarowaniem wynikającym z kondycji dzisiejszego świata i człowieka. Ujęty tam obraz emanuje egzystencjalnym bólem z iście surrealistyczną manierą. Sztukę tą można oskarżać o wiele rzeczy, począwszy od bycia zbyt „reakcjonistyczną” czy zbyt „progresywną”, lecz nic bardziej mylnego. Fashwave idealnie komponuje się z całym ruchem nowoczesnego nacjonalizmu. Tak jak Fashwave, jak i wspomniany nacjonalizm, mają ten lekko pchający przed siebie vibe (z ang. „wibracje”), przy jednoczesnym zachowaniu uwielbienia tego co przeszłe. Przyzwyczailiśmy się tak mocno do słowa „postęp” czy „progres”, że zapomnieliśmy, o co w nich tak naprawdę chodzi.

Jeśli spojrzymy na historię sztuki, możemy zauważyć ciekawy wzór: idąc od estetyki greko-romańskiej zobaczymy jej wskrzeszenie w renesansie, a następnie w oświeceniu. Końcowym ruchem kultywującym te wartości było nic innego jak „Art-Deco”. Wydaje się być to ostatni tak wrażliwy na

piękno i zdrowy ruch artystyczny. W sztuce internetu, ruch, który ponownie przywrócił do życia apollinijską estetykę był „Vaporwave”. A z tego wyrosły inne wszelkie „-wave'y”, w tym Fashwave. W ten sposób, zachowujemy integralność sztuki, rzeczywistą ciągłość, odwołanie do przeszłości w syntezie z nieubłaganym postępem.

Warto wspomnieć, że fashwave nie jest ani odwołaniem tylko do klasycystycznej estetyki, ani tylko do progresywnej wersji sztuki. Pozostaje balansem pomiędzy tymi dwoma. Tworzy swoistą syntezę. Sama antyczna figura powinna znaleźć się w muzeum, a sam progresywny przekaz powinien znaleźć się w koszu. Bez tej syntezy, bez współpracy tych dwóch najważniejszych części nie uzyskamy sztuki, która odwzorowuje to, czym jest nacjonalizm.

Chodzi w Fashwave zatem o łączenie dwóch czynników ze sobą, a nie proste replikowanie ich. Dokładniej rzecz ujmując zależy tu na korzystaniu z progresywizmu przy pomocy tradycjonalizmu. Oprócz tego, estetyka lat 80 i 90 XX w. to „niegdysiejsza przyszłość” obijająca się już o tzw. „retrofuturyzm”. Ponadto omawiane czasy to obraz, z którym dzisiejsi młodzi ludzie mogą się utożsamić. Po prostu znają je doskonale, jeśli nie z własnego życia, to z popularnych filmów typu np. „Terminator”. Jeśli Fashwave dotyczyłby tylko wspomnianych greko-rzymskich figur, opinia publiczna czy my sami, skreślilibyśmy go. Uznalibyśmy ten nurt za

niepotrzebny, przestarzały i pretensjonalny. My, ludzie zachodu zatraciliśmy się w terażniejszości, nie żyjemy ani przeszłością, ani przyszłością. Dżihadysty, którzy niszczą nasze miasta czy lotniska, w swoich tyradach przywołują terror krzyżowców sprzed blisko ośmiuset lat, i ponownie, a my? Jesteśmy „podłączeni” tylko w terażniejszości, tak jakbyśmy mieli pamięć jedynie osób, które żyją tu i teraz, podczas gdy nasza cywilizacja to zbiór wielu pokoleń. Z racji tego, jednym z celów Fashwave'u jest wskrzeszenie przeszłości, przypomnienie ludziom o ich korzeniach i tchnienie tego w przyszłość.

III

Wspomniany „Vaporwave”, jako ruch artystyczny, zaczął się od post-ironii i anty-konsumpcjonistycznego podejścia. Na dobrą sprawę tego, czego chcemy jako nacjonałiści. Przecież jedną z wartości, jaka nam przyświeca w naszej idei to naród oparty na autentycznej, tożsamości i kulturze, związanej ścisłymi więzami pokrewieństwa, a nie na neoliberalnej mrzonce. Vaporwave jest parodią konsumpcjonistycznego stylu życia, jednocześnie uosabiając nostalgię wobec konsumpcjonizmu lat 80 XX w. Vaporwave, więc, jako przodek Fashwave'u, nie celebrowuje dzisiejszego świata, a jest estetycznym ubraniem obecnej ery, w której żyjemy (jakby niektórzy powiedzieli – „Kali Yuga”).

Wielu ludzi niesłusznie stawia Fashwave w zestawieniu obok postmodernizmu, w zdecydowanie pejoratywnym świetle. Ruch modernistyczny rozpoczął się na długo przed liberalną zarazą. Jego apostołami byli uwielbiani przez nas takie osoby jak np. Filippo Tommaso Marinetti. Drugi z nich to Juliusz Evola malujący dadaistyczne obrazy. Zmiana nadeszła na dobrą sprawę dopiero z okresem końca drugiej wojny. To wtedy powstawały takie ruchy jak np. niemiecki Bauhaus. Nurt ten był niczym innym jak powieleniem formy sztuki szkoły frankfurckiej.

IV

Dlaczego coś takiego powstaje w kuźni nowoczesnej sztuki, głównie internetowej? Co odróżnia taki nurt od grafik umieszczonych na bluzach z żołnierzami wyklętymi czy waleczną husarią? Ta estetyka, tak zwanych „narodowców” jest krótka, pusta i sztuczna. Oprócz tego jest ekwiwalentem odcinka „Sitcomu”. Warto podkreślić, iż to co my tworzymy, jest w stanie samo ewoluować, gdyż pewne estetyczne ideały są wieczne, tak jak Prawda.

Pamiętać trzeba, że są pewne rzeczy, które przemawiają do ludzi znacznie mocniej niż przeintelektualizowane teksty (jak np. ten). Język mitologii (w ujęciu m.in. Carla Gustava Junga) jest znacznie silniejszy niż mówione czy pisane słowo. To swoista część naszej świadomości i naszego mózgu, „wpisana” i „zakodowana w Europejczyków”, co odróżnia nas od innych

ludzi na całym globie. Jak wspomniałem, znaczącą częścią tej sztuki pozostaje estetyka grecko-rzymskich figur czy odwołań do mitologii. Co jest tego powodem? Antyczne ideały to formy, które są nadal w nas żywe. Kluczem jednak jest postawienie ich w nowym świetle. „Starzy Bogowie” nigdzie nie odeszli, a syn powinien kontynuować dzieło ojca.

Niektórzy mówią, że wraz ze zrozumieniem sztuki, zaczyna się prawdziwa mądrość. Aby kontrolować jakąkolwiek idee, trzeba dzierżyć w dłoni (idąc ponownie tropem Carla G. Junga) wiedzę na temat tego, co nieświadome, archetypiczne i symboliczne. Następnie tchnąć w to w materialną formę. Bójcie się artystów, bo to oni w ostatnim stuleciu byli w stanie tworzyć i niszczyć najpiękniejsze rzeczy.

V

I słowem zakończenia: jeśli jesteś, drogi czytelniku, bardziej zainteresowany tematem to twoim przyjacielem pozostaje internet. Takich artystów jest na pęczki, w tym z polskiego „podwórka”. Począwszy od chyba najbardziej popularnego projektu „Polishwave”, prowadzonego przez „Neonową Rekonkwistę”. Przykładami zachodnich artystów to Neon Degrell oraz „naturewilldestroyyou” (obaj dostępni na deviantarcie). Warto wspomnieć w tym wątku, iż istnieją muzycy, którzy przez swój artyzm odwołują się do obrazu. Dokładnie chodzi mi tu o muzykę w stylu

„synthu” żywcem ściągniętego z lat 80 XX w. Głównymi artystami są Xurious czy Joseph Retrostein.

Otto Auslegen

Paweł Doliński – Stawiajmy na przedsiębiorstwa państwowe!



Przedsiębiorstwa państwowe (pp) są nadal współcześnie istotnymi elementami bardzo wielu systemów gospodarczych, zarówno państw rozwiniętych, jak i rozwijających się oraz postsocjalistycznych. Wielu ekonomistów przewiduje, że w najbliższym czasie – ze względu na skutki kryzysu światowego lat 2008-2009 – ich zakres i znaczenie nie będzie się zmniejszać, a w niektórych przypadkach wzrastać. Z tego względu ważne jest, aby państwo Polskie zaczęło stawiać na własne przedsiębiorstwa nie tylko w zakresie sektorów strategicznych dla zapewnienia bezpieczeństwa narodowego, ale i w sektorach przemysłu i usług.

Analiza problemu miejsca, roli oraz zasad funkcjonowania przedsiębiorstw państwowych w różnych krajach prowadzi do dwóch istotnych – moim zdaniem – wniosków. Po pierwsze, w skali światowej

istnieje silne zróżnicowanie udziału, a także funkcji pp w poszczególnych gospodarkach, a nawet w grupach krajów gospodarczo pozornie do siebie podobnych. Trudno tu dostrzec jeden wzorzec, który mógłby stanowić punkt odniesienia przy analizach porównawczych czy zaleceniach dla prowadzenia polityki gospodarczej. Na przykład w grupie krajów najbardziej rozwiniętych, o najwyższych wskaźnikach PKB per capita, można łatwo odnaleźć kraje, w których pp stanowią marginalną część gospodarki (np. Wielka Brytania, Stany Zjednoczone), a także kraje, w których pp są dość istotną jej częścią (np. kraje skandynawskie, ChRL). Istnieją kraje, w których zadania stawiane przed pp ograniczają się jedynie do rozwiązywania problemów zawodności rynku, ale są też kraje, w których pp realizują ponadto funkcje szczególne, najczęściej o charakterze pozaekonomicznym.

Po drugie, podobnie pluralizm występuje, gdy chodzi o zasady funkcjonowania pp. W szczególności o zakres i sposób wykonywania przez państwo uprawnień właścicielskich. Mamy w tym obszarze cały szereg odmiennych, szczegółowych rozwiązań i to w różnych wydaniach. Od takich, w których pp są w zasadzie niezależne od bieżących działań rządu, a państwo-właściciel świadomie upodabnia się do właściciela prywatnego, do takich, w których przedsiębiorstwa państwowe są operacyjnie nadzorowane czy nawet kierowane przez władzę polityczną. A w innym

wydaniu nadzór właścicielski rozproszony na wiele różnych organów państwa i/ lub instytucji jedynie kontrolowanych przez państwo.

Przed państwem polskim i obecną ekipą rządzącą stoi obecnie wyzwanie, jaki model własności państwowej byłby najbardziej optymalny dla naszego kraju? Ostatnie 25 lat w Polsce na płaszczyźnie własności państwowej można określić hybrydą modelu postsocjalistycznego rozwiązaniami anglosaskimi. Konsensus waszyngtoński wymusił na Polsce pospieszną wyprzedaż majątku narodowego i zamykanie (nierentownych według liberalnych ekonomistów) większości przedsiębiorstw. Efektem jest współczesny obraz dominacji kapitału zagranicznego, znikomy udziału płac w polskim PKB oraz konkurencja na rynkach niskimi kosztami pracy, zamiast innowacyjnością. Natomiast te przedsiębiorstwa, które się zachowały mają charakter infrastrukturalny, działające w branżach o niskim poziomie konkurencji (poczta, kolej, energetyka). Przedsiębiorstwa te często mają formę prawną spółek akcyjnych z większościowymi udziałami państwa lub nawet mniejszościowymi przy zachowaniu kontroli korporacyjnej. Sposoby wykonywania nadzoru właścicielskiego ze strony państwa oraz zarządzanie tymi przedsiębiorstwami odbiegają od standardów dobrych praktyk menadżerskich. Regułą jest wykorzystywanie ich jako swoistego „łupu politycznego” przez kolejne ekipy polityczne.

Wielu nacjonalistów i narodowych radykałów uważa, że optymalny państwowy model własnościowy dla Polski to niemiecki lub szwedzki (ogólnie mówiąc skandynawski). Jednak czy rzeczywiście są one najlepsze spośród wszystkich dostępnych? W Niemczech, czy Skandynawii państwowa własność gospodarcza ma charakter zaszłościowy. Przedsiębiorstwa państwowe (wcześniej cesarskie bądź królewskie) są trwałym, choć nigdy nie dominującym, elementem tych gospodarek od setek lat. Ich udział wynosi od kilku procent (np. w Holandii, Belgii czy Szwecji) do 10–12 % (w Norwegii, Finlandii, Grecji czy Francji). Natomiast bezpośrednio po I wojnie światowej oraz w pierwszym dziesięcioleciu po II wojnie światowej udział ten był znacznie większy, rzędu 20–30 %. Przed II wojną światową powoływano i wykorzystywano przedsiębiorstwa państwowe w celu nadrabiania zaległości rozwojowych oraz budowaniu struktur państw narodowych. W ostatnim ćwierćwieczu zakres własności państwowej we wszystkich tych krajach znacząco się zmniejszył. Sprywatyzowane zostały państwowe telekomy, w wielu krajach linie lotnicze, w niektórych także poczta oraz koleje, czy udziały w bankach. Ewentualnie w krajach takich jak np. Norwegia celem pp jest działalność związana wydobyciem rodzimych bogactw naturalnych. Czy są to modele gospodarki satysfakcjonujące narodowych radykałów i socjalistów?

Interesującymi rozwiązaniami w gospodarce charakteryzuje się Chińska Republika Ludowa. Własność państwowa w Chinach jest bardzo obszerna, obejmuje zarówno przedsiębiorstwa małe, o znaczeniu lokalnym, jak i te największe. Funkcjonuje zarówno w sektorach bezpieczeństwa narodowego, jak w sferach konkurencyjnych jak usługi, czy przemysł. Ogółem w gospodarce wynosi ok. 30–40 %, a w grupie największych i najważniejszych przedsiębiorstw przekracza 60 %. Zasady nadzoru właścicielskiego państwa są słabo skodyfikowane. Ale jednocześnie chiński „kapitalizm państwowy” jest stosunkowo bezwzględny, a rola załóg pracowniczych pp niewielka. Strategia inwestycyjna i rozwojowa tych przedsiębiorstw z reguły odzwierciedla priorytety rządu chińskiego. Cele istnienia i funkcje gospodarcze pp w modelu chińskim ogólnie rzecz biorąc są podobne do modelu rosyjskiego, choć istnieją tu nieco odmienne akcenty, a także specyficzne różnice. Zasadnicze podobieństwo wynika z faktu pierwszeństwa celów pozaekonomicznych nad ekonomicznymi, przy czym, o ile w Rosji cele te bardziej dotyczą bieżących korzyści obecnej władzy, to w Chinach mają charakter bardziej strategiczny, są zorientowane na długookresowe korzyści państwa i wzmocnienie jego pozycji w gospodarce światowej. W Chinach, w przeciwieństwie do Rosji, głównie ze względu na wielką liczbę pp, nadzór państwa jest w znacznym stopniu zdecentralizowany. Władza centralna sprawuje bezpośrednią kontrolę jedynie nad ok. 120 kluczowymi podmiotami, często o

charakterze konglomeratów, natomiast tysiące mniejszych podmiotów pozostaje w gestii władz lokalnych (regionalnych). Przedsiębiorstwa państwowe w Chinach – również w przeciwieństwie do rosyjskich – istnieją w najróżniejszych branżach, w tym zaawansowanych technologicznie, wiele z nich działa poza granicami kraju. Oznacza to, że są one poddawane ostrzejszej międzynarodowej konkurencji. W konsekwencji znaczenia nabierają czynniki efektywnościowe w ich funkcjonowaniu, a stawiane im cele pozaekonomiczne nie mogą być oderwane od bieżącej racjonalności funkcjonowania. Chiński model obala liberalny mit o braku innowacyjności państwowych przedsiębiorstw. Cechą charakterystyczną modelu chińskiego jest ponadto otrzymywanie przez pp znaczącego wsparcia finansowego od państwa, np. w formie udzielanych pożyczek.

Jak widać na powyższym przykładzie „Chiński smok” jest przykładem bardzo dobrze funkcjonujących przedsiębiorstw w gospodarce globalnej. Chociażby Sinopec w 2006 roku wykupił za 692 mln USD szyby naftowe w Angoli, przedsiębiorstwo CNPC wykupiło udziały w Petro Kazachstan, natomiast spółka CNOOC przeprowadziła dwa znaczące przejęcia - nabyła 45% udziałów w nigeryjskim przedsiębiorstwie naftowym ACPO oraz w 2012 roku przejęła kanadyjskie przedsiębiorstwo państwowe Nexen. W dziedzinie wysokich technologii przykładem może być przejęcie oddziału produkcji komputerów spółki IBM przez LENOVO oraz wykupienie przez

TCL francuskiego producenta telewizorów Thomson oraz spółki Schneider Electronics.

W sferze odbudowania polskiego majątku narodowego przykładem nie powinny być – moim zdaniem – państwa zachodnie, lecz właśnie Chiny. Można się posilić rozwiązaniami państwa zachodnich w kwestiach budowy państwa z rozbudowanym zapleczem socjalnym lub podatkach, choć i w tej kwestii państwa Zachodnie się od lat stopniowo wycofują się na rzecz lobbingu dużego kapitału i obniżają stawki progresywne. Czy można szukać modelu optymalnego pp w innych krajach? W Rosji podmioty te, najczęściej prowadzące działalność w branżach tradycyjnych (surowcowych), z natury rzeczy nie podlegają silnej konkurencji międzynarodowej, szczególnie na poziomie innowacji, a dodatkowo są chronione i wspierane na różne sposoby przez działania administracyjno-polityczne. Wykorzystywanie bieżących zysków, a także ekspansja rozwojowa tych przedsiębiorstw, jest ściśle związana z realizacją celów politycznych aktualnej władzy, a kryterium ich prawidłowego działania wynika z możliwości realizacji narzucanych celów. Dodatkowo są one źródłem różnorodnych, bezpośrednich korzyści materialnych dla elity władzy państwowej, czyli oligarchii.

W krajach gospodarek „wschodzących” takich jak Brazylia, Indie, czy państwa afrykańskie pp ciężko jest funkcjonować, gdyż obszary, na których

działają są podmiotami globalnej gospodarki. W tym sensie są stosunkowo bezbronni wobec ekspansji globalnych korporacji, co wynika z kilku czynników: nieugruntowanych systemów politycznych, podatnych na korupcję administracji, braku rodzimych, prywatnych firm zdolnych do konkurencji z podmiotami zagranicznymi, braku obiektywnych mediów sprawujących kontrolę publiczną. W takich warunkach zasadniczego znaczenia nabiera problem zabezpieczenia rozwojowych interesów narodowych, których warunkiem jest miejscowa akumulacja, czego nie zapewniają globalne korporacje. Mimo wszelkich ich wad i nieefektywności ich przedsiębiorstw państwowych, są one i tak najprostszym możliwym panaceum na zagrożenia związane z globalnym otwarciem gospodarek oraz ekspansją globalnych korporacji.

Obserwując tendencje globalne można dojść do wniosku, że polskie przedsiębiorstwa państwowe powinny przejść z modelu postsocjalistycznego na model chiński/azjatycki, a nie zachodnioeuropejski. Jest to może kontrowersyjna rekomendacja, ale obserwując stopniowe wycofywanie się państwa z obszaru gospodarki, co jest widoczne na Zachodzie, współczesna recepta nacjonalistów dla Polski winna bazować na odmiennych rozwiązaniach. Spójrzmy na Chiny i dokładnie zbadajmy ich okres przejściowy i zobaczmy, co można przeszczepić na grunt polski.

Paweł Doliński

Michał Karpiński – „Kamikaze – samobójcze ataki, duma i poświęcenie”



„Wariactwo”, „szaleństwo”, „postradanie zmysłów”, i inne tego typu epitety, można usłyszeć streszczając historię japońskich Kamikaze z okresu Drugiej Wojny Światowej. Jednak czy są one słuszne? Co motywowało każdego z pilotów do tak szlachetnego czynu? Co czuli na chwilę przed wyruszeniem w ostatnią podróż? W niniejszym tekście postaram się nieco pochylić nad tą problematyką. We wstępie chcę zakomunikować, że nie będzie to tekst traktujący stricte o historii Japonii w obranym okresie. W głównym wątku nie skupię się również na samej ocenie działań wojennych. (Raczej będzie ona powierzchowna). Ponadto ważna pozostaje współczesna sytuacja duchowa samych Japończyków. Pożerani przez liberalizm obyczajowy i gospodarczy stali się „narodem korposzczurów”. Pozostawmy to ostatnie na inne rozważania, a może i nawet na osobny artykuł napisany w przyszłości.

Przechodząc do rzeczy, „Kamikaze” z języka japońskiego dosłownie oznacza „boski wiatr”. Nazwa ta pochodzi od potężnych tajfunów, które w XIII wieku zniszczyły mongolską flotę chcącą zaatakować Japonię. Natomiast oddziały pilotów-samobójców z okresu Drugiej Wojny Światowej, powstały wskutek niepowodzeń lotnictwa i floty japońskiej. (Miało to miejsce m. in. podczas Bitwy na Morzu Filipińskim. Ogromne straty poniosła także piechota japońska na Filipinach). Pomysł utworzenia oddziałów Kamikaze przypisuje się admirałowi Takijirō Ōnishiemu, a bezpośrednie uformowanie chorążemu Nakajimie i porucznikowi Inoguchiemu. Pierwsze, skoordynowane „Oddziały Boskiego Wiatru do Ataków Specjalnych”, złożone z ochotników, wyruszyły 25 października 1944 roku. Zaatakowały one kilka amerykańskich lotniskowców. W sumie na około dziesięć statków cało wyszedł tylko jeden – USS Fanshaw Bay.

Japonia to kraj silnego przywiązania do tradycji i własnej historii. Nie dziwi więc fakt, iż wojsko japońskie z okresu Drugiej Wojny Światowej, było mocno zakorzenione w samurajskim kodeksie Bushido. Oprócz niego funkcjonowały inne tradycyjne formy moralności. Po pierwsze spojrzenie na śmierć, a dokładniej – pogarda dla niej. Po drugie oddanie własnego życia za cesarza i ojczyznę. To ostatnie uznawano w omawianym okresie za najwyższy akt poświęcenia. W imię zasad tej kultury, opartej na takich formach moralności, przygotowywano fizycznie i duchowo bohaterów tego artykułu. Swoistym „rytuałem” pozostawała uroczysta wspólna kolacja z

oficerem przed wylotem. W ten sposób podnosiło się morale żołnierza. Kolejną ceremonialną kwestią, pozostaje uniform zakładany podczas samobójczej misji. Piloci mieli na sobie odświętny mundur. W końcu synowie „Kraju Kwitnącej Wiśni” wylatywali na pewną śmierć, a martwych chowa się w strojach odświętnych. Oprócz tego, niektórzy z Kamikaze mieli przy sobie w chwili wylotu tantō. Dokładnie był to krótki miecz do rytualnego samobójstwa, używany niegdyś przez samurajów. Przekazywano go z pokolenia na pokolenie. Piloci mogli nim odebrać sobie życie, gdyby przeżyli samobójczy atak.

Ciekawym w tym okresie pozostaje wątek młodych Japończyków w okresie nauki. Podczas powstania sojuszu pomiędzy Berlinem, Rzymem i Tokio, a potem podczas wojny na Pacyfiku, japońscy uczniowie i studenci podzielili się na dwie „frakcje”. Jedni byli za „Osią”, drudzy za „Aliantami”. (Pośród tych drugich było bardzo wielu pacyfistów). Obie grupy różniły się od siebie. Dla przykładu, zwolennicy Aliantów w szkole zapisywali się na kursy z języka francuskiego, natomiast zwolennicy Osi na kursy z języka niemieckiego. Jedni i drudzy wierzyli w ewentualne korzyści związane z szerszą współpracą międzynarodową określonego sojuszu. Nagle zawrzało pośród studentów po komunikacie radiowym Cesarza Hirohito. Dotyczył on dokładnie poboru studentów do wojska. Dyskusje były bardziej zaciekle niż wcześniej pośród uczących się. Większość z nich trafiła do sił powietrznych. Tam przechodzili odpowiednie szkolenie. Uczyli się m.in.

sterowania samolotem. (Dla przykładu – pierwszym etapem było opanowanie szybowca). Szkolenia ograniczono w wyniku rozwoju działań wojennych i strat doświadczonych japońskich pilotów.

Na przełomie kwietnia i maja 1945 roku, Japonia została sama w walce z wrogiem. Po pierwsze wygasł pakt o nieagresji ze Związkiem Radzieckim. Po drugie, niedługo po tych wydarzeniach, III Rzesza skapitulowała. Początkowo Kamikaze odnosili sukcesy w bitwie o Okinawę. Niestety w czerwcu tego samego roku, została ona zdobyta przez siły alianckie. W wyniku tych wydarzeń, gen. Ushijima, dowodzący wojskami japońskimi na Okinawie, popełnił rytualne samobójstwo. 6. i 9. sierpnia tego samego roku, wojska amerykańskie rzuciły bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki. W wyniku eksplozji nastąpiły ogromne straty wśród ludności cywilnej. Atak ten doprowadził do podpisania aktu kapitulacji przez Japonię. Wiceadmirał Matome Ugaki, nie mogąc pogodzić się z porażką, rozkazał przygotować kilka samolotów do ostatniego samobójczego ataku. Za jego czynem poszło więcej żołnierzy niż sam tego wymagał. W ten sposób, ponad dwudziestu Kamikaze wzbilo się w ostatni lot. Nie wszyscy jednak dolecieli do celu. W wyniku rozbicia się nie dotarły wszystkie samoloty – w tym ten, w którym znajdował się Ugaki.

Po wojnie została pamięć o Kamikaze w „Kraju Kwitnącej Wiśni”. Dokładnie w niewielkim miasteczku w południowej Japonii, zwanym

Chiran, znajduje się „Muzeum Pokoju”. Poświęcone ono zostało lotnikom Kamikaze. Wybudowano je w 1975 roku. Można w nim podziwiać m. in.: eksponaty samolotów, rzeczy osobiste pilotów, ich listy i wiersze, a nawet zdjęcia z jednostek czy życia prywatnego. Co roku w dniu 15 sierpnia, nacjonalistyczne i patriotyczne japońskie ugrupowania zjeżdżają się do Chiran, aby oddać hołd poległym w tamtych dniach. W sferze kultury, poza wyżej wspomnianym Muzeum, można też polecić utwór zespołu z japońskiej sceny RAC, „Sledgehammer”, w którym oddają cześć pilotom Kamikaze[1].

Przechodząc do konkluzji w obranej tematyce, patrząc z podziwem na Kamikaze, nie pomijam ich rozterek na temat wojny i ataków samobójczych. Nie można również patrzeć na ich czyn przez pryzmat naszej kultury. Należy w tym wypadku zrozumieć ich tradycję i nieco zagłębić się w samą historię „Kraju Kwitnącej Wiśni”. Na początku formowania oddziałów Kamikaze dołączali ochotnicy. Z czasem jednak, gdy sytuacja wojsk japońskich na froncie słabła, nastąpiły pobory przymusowe. Ponadto, bohaterowie tego artykułu, pozostawili po sobie spuściznę źródłową. Chodzi dokładnie o ich listy i pamiętniki. Ułatwiają one zrozumieć w pewien sposób sferę psychiczną tych ludzi. Opisywali w nich m.in. swoje przemyślenia. W tym miejscu warto podkreślić moment, kiedy to Kamikaze ujrzeni swoje nazwisko na liście do następnego wylotu. Towarzyszyły im wtedy różne, czasem skrajne emocje: duma, radość,

niezrozumienie i tęsknota za bliskimi, lub jak pisał Nagatsuka „(...) świadomość, że w tej ostatniej chwili nie będzie przy mnie nikogo bliskiego”. Czego by nie czuli, ze spokojem ubierali się w odświętne mundury. Następnie przewiązywali głowy opaską swego państwa. Z podniesioną głową, przy śpiewach kobiet, wyruszyli w swą ostatnią podróż, z myślą o swojej misji i celu – pokonaniu wroga.

Banzai!

„– Pamiętaj jednak, synu, że siły fizyczne i moc materialna to rzeczy drugorzędne. Najważniejszy jest duch żołnierza, jego odwaga i determinacja, gotowość do najwyższych poświęceń. Duch żołnierza naszej rasy, Yamato-damashii! (...) Gdy Amerykanie stracą kilku ludzi, nie chcą dalej walczyć i poddają się. Traktują wojnę po kupiecku, jak ja traktuję sprzedaż konserw – Tamiro lekko skrzywił się na to porównanie. – Zastanów się, Taro. Przypuśćmy, że stu żołnierzy amerykańskich zostanie otoczonych przez przeważające siły naszych. Ilu z nich trzeba zabić, by reszta się poddała? – Dwudziestu, może trzydziestu... - zgadywał Taro. - Właśnie. (...) A teraz przypuśćmy, że zaistniała sytuacja odwrotna. Stu naszych otoczonych przez tysiące Amerykanów. Ilu z naszych trzeba zabić, by uzyskać poddanie się reszty? Taro wyprostował się dumnie. – Nasi nigdy się nie poddają!”.**[2]**

Michał Karpiński

Przypisy:

[1]. Sledgehammer – Kamikaze [w:]

<https://www.youtube.com/watch?v=5CY3DzIty-U> , (dostęp 20 grudzień 2011 r.).

[2]. Bohdan Arct – „Kamikadze, boski wiatr”, pierwsze wyd. 1961 r., fragment.

Bibliografia:

1. Nagatsuka R.; „Byłem Kamikaze”; wyd. MON; 1979 r.

2. Flisowski Z.; „Burza nad Pacyfikiem”; wyd. Poznańskie; T. 1, 1986 r.; T. 2, 1989 r.

Bartłomiej Madej – „Duce, prowadź do szturm!”



Cele szurmowców i całego szurmowego nacjonalizmu, były już wielokrotnie przytaczane. Dobrze wiemy, że naszym celem jest budowanie wielkości naszego narodu a także obrona naszej tożsamości, kultury i cywilizacji. Chcemy tego dokonać drogą nacjonalistycznej rewolucji, drogą zrywu, walcząc z tym wszystkim co chce zniszczyć nasz naród i całą cywilizację. Jesteśmy dynamiczni, bezkompromisowi. Jako nacjonałści jesteśmy także wrażliwi na sprawy społeczne, a więc jesteśmy socjalni, ponieważ wiemy że to ludzie tworzą naród, a żeby naród był wielki, ludzie go tworzący potrzebują godnego życia. Można by tak długo jeszcze pisać o naszych celach, ale warto się zatrzymać i dojść do oczywistego wniosku, że potrzebny jest nam jakiś wzór, a w tym przypadku nawet jawne i bezprecedensowe odniesienie się do idei, która cele miała takie jak my, i której to udało się zwyciężyć, władać, zmieniać i inspirować. Piękne

rezultaty rządów tej idei możemy zauważać do dnia dzisiejszego, tą ideą jest Faszyzm.

Idea ta powstała na bazie buntu przeciwko niesprawiedliwemu traktowaniu narodu, na bazie sprzeciwu wobec liberalnych i słabych rządów a także na podstawie chęci powstania silnego państwa, które będzie stało na czele rozwoju narodu, w drodze do jego wielkości. Tak oto powstał ruch faszystów, który był zbiorowiskiem całej elity narodu, a więc najodważniejszych z bohaterów walczących o swój kraj podczas I wojny światowej. Na jego czele stanął Benito Mussolini, który osobiście brał udział w walkach podczas tej wojny. Tu warto także pamiętać o wielu innych znamienitych postaciach które wpłynęły na idee faszyzmu, a robiły to swoim poświęceniem dla narodu, tak jak czynił to na przykład Gabriele D'Annunzio.

Po udanym „Marszu na Rzym” w 1922 roku, na czele Państwa Włoskiego stanął DUCE (z języka włoskiego „wódz”), wcześniej już wspomniany Benito Mussolini. Od tego czasu naród ten przeżywał swoje piękne lata. Na niebywałą skalę ruszyły programy socjalne, dzięki którym ubóstwo i bezrobocie drastycznie malało, a skrajne ubóstwo zostało niemal całkowicie wyplewione. Wśród socjalnych rozporządzeń bardzo zauważalne były programy prorodzinne, dzięki którym dzietność we Włoszech niebywale wzrastała. Tu warto pamiętać o ustawach, dzięki którym każde małżeństwo z dziećmi miało mieć, bez względu na swój stan

finansowy, zapewnione godne życie w swoim domu, a także znaczącą pomoc materialną. Każda matka we Włoszech była darzona dużym szacunkiem, gdyż sprawiała, że na świat przychodzi kolejny wspaniały członek narodu, ów szacunek objawiał się między innymi programem polegającym na wydawaniu darmowych biletów do najlepszych szpitali we Włoszech, gdzie w bardzo dogodnych warunkach przyszłe mamy mogły urodzić swoje dzieci. Tego typu udogodnień było jeszcze więcej. Warto także wspomnieć o polityce pracy, która sprzeciwiała się zarówno komunistycznej koncepcji walki klas, jak i kapitalistycznemu wyzyskowi. Odpowiedzią na to był korporacjonizm, dzięki któremu pracodawcy jak i pracownicy na każdym kroku znajdowali swoje wspólne interesy, jakimi przede wszystkim były interesy narodu i ramię w ramię, na dogodnych dla obu stron warunkach, wspólnie pracowali. Za rządów faszystów bardzo duży nacisk kładziono na rozwój techniczny i infrastrukturalny, dzięki czemu już 1923 roku powstała pierwsza na świecie autostrada, ale też wiele połączeń kolejowych. Osuszono też bagna pontyjskie, dzięki czemu na bardzo dużym obszarze można było wybudować nowe miasta i wsie, zapewniając tym samym lepsze warunki życia obywatelom. To wszystko powodowało, że potrzeba było rąk do pracy, za czym szło właśnie malejące bezrobocie. Jak wiadomo, dla faszyzmu, bardzo istotny jest rozwój nie tylko intelektualny ale także rozwój fizyczny. Tak też za rządów DUCE, sport i aktywny tryb życia cieszyły się popularnością wśród całego narodu.

To wtedy obowiązkowe wśród młodzieży były zajęcia sportowe ,które zdecydowanie przewyższały swoją jakością i różnorodnością dzisiejsze parodie wf-ów. Powstawały nowe kluby sportowe i budowane były w niesamowitych ilościach rozmaite stadiony. To też wtedy Włosi zajmowali swoje historyczne drugie miejsca w klasyfikacjach medalowych podczas igrzysk olimpijskich i wygrywali pod rząd mistrzostwa świata w piłkę nożną, która z resztą właśnie wtedy stała się wręcz świętością dla Włochów. Należy także pamiętać o programach militaryzacji narodu, polegającymi na rozbudowie armii, dzięki czemu rozwijał się także przemysł ciężki. Silne Państwo Faszystowskie radziło sobie także z czymś co zawsze było problemem na półwyspie apenińskim, a mianowicie z mafią. Można śmiało powiedzieć że problem ten został wtedy całkowicie zlikwidowany.

Jak widać, postulaty które dziś jako środowisko szturmowego nacjonalizmu wygłaszamy, były także wygłaszane przez jakże bliski nam, a można powiedzieć wręcz tożsamy z nami faszyzm,co więcej idea ta pod władzą, na której czele stał Benito Mussolini,była jak najbardziej realizowana skutecznie i na rzecz narodu. Jednak właśnie o tym należy pamiętać, że jak wtedy był DUCE i do dziś jest On w myślach i sercach wielu ludzi, tak i dziś nie obejdzie się bez wodza który stanie na czele nacjonalistycznej rewolucji.

Bartłomiej Madej

Jarosław Ostrogniew – „Memy, metapolityka i wojna tajemna”



Aktywizm internetowy nie ma zbyt dobrej prasy. Powodem tego jest prawdopodobnie fakt, że zbyt dużo ludzi poświęca się tylko niemu, zaniehbując inne pola działalności. Dlatego zapominamy o dobrych stronach aktywizmu internetowego i o tym, że przynosi on także wymierne efekty.

W anglojęzycznym światku nacjonalistycznym, czy tożsamościowym, dużo o aktywizmie internetowym myślą, mówią i piszą, ponieważ to właśnie dzięki obecności internetowej, szeroko rozumianej „alternatywnej prawicy”, udało się zaistnieć. Środowisko to najpierw działało jedynie w przestrzeni wirtualnej, a gdy zaczęło to przynosić efekty na płaszczyźnie materialnej, przenieśli swój aktywizm także poza rzeczywistość wirtualną. Dlatego pozwalam sobie czerpać tutaj pełnymi garściami z tego, co

przedstawiciele tego środowiska piszą w esejach, mówią w podcastach, czy dyskutują w grupach i na forach.

Internet – nowy front walki

Rozpowszechnienie nowych technologii – zaawansowany i tani sprzęt dostępny dla większości społeczeństwa – sprawiło, że internet zawędrował pod strzechy. Architekci systemu myśleli, że umożliwi to pełną kontrolę i doskonałą propagandę, docierającą dosłownie do wszystkich. Rzeczywiście – inwigilacja nigdy nie była większa, nigdy też propaganda nie miała takiego pola rażenia. Ale łatwość w obsłudze i powszechność technologii doprowadziły do czegoś jeszcze – opór na poziomie propagandowym jeszcze nigdy nie był tak prosty.

W epoce druku, a potem telewizji, radia i prasy, asymetria między systemem a jego przeciwnikami na poziomie propagandowym była gigantyczna. W poprzedniej epoce naprzeciwko gazet, programów radiowych i telewizyjnych trafiających do prawie całego społeczeństwa, książek trafiających do całej koncesjonowanej elity, stały ulotki i samizdaty krążące w drugim obiegu, trafiające z rąk do rąk wśród nielicznej i zamkniętej kontrkultury buntowników. Obecnie memy czy filmiki trafiają nawet do całkiem przypadkowych osób i zasiewają w ich umysłach ziarno zwątpienia w oficjalną narrację propagowaną przez system.

Internet nie jest już jednak tymi dzikimi polami czy nowym pograniczem, na którym poruszają się tylko wytrawni znawcy ezoterycznych arkan tajemnej wiedzy obsługi komputera. Internet trafił pod strzechy – jest terenem, po którym (najczęściej w telefonie) gromadnie wędrują profańskie masy niewtajemniczonych, czyli po prostu normiki. To oswojenie Internetu wiąże się z kolejnym zjawiskiem – tak jak na Dzikim Zachód po pierwszych osadnikach, szukających szczęścia poza prawem i poza powszechnie przyjętymi normami, przybywają przedstawiciele państwa, którzy chcą zaprowadzać swoje prawo i wszystko kontrolować. Z tą różnicą, że na wirtualnym pograniczu to nie państwo stanowi forpoczcie starej cywilizacji, tylko międzynarodowe korporacje, które zmieniły internet w kolejny towar i kolejną przestrzeń wymiany handlowej. To one dążą do monopolizacji kontroli nad treściami pojawiającymi się w internecie. To dla nich największym zagrożeniem są wszelkie różnice między ludźmi – zwłaszcza te wrodzone – i wszelki ideologie na tych różnicach bazujące, a zatem także nacjonalizm. Idealnym społeczeństwem dla międzynarodowych korporacji jest wielorasowy bazar, na którym onieśmielona wyborem i przepychem towarów wymieszana etnicznie gawiedź pokornie przechadza się między straganami liberalnego oligopolu.

Problemy cenzury internetu, ograniczania dostępu, pośredników między twórcami a odbiorcami – nie powinny nas zniechęcać, bo to znaczy, że

nasze działania przynoszą efekty! Inaczej nie wywołałyby tak ostrej reakcji systemu. I tak jak wraz z postępowaniem w budowie socjalizmu walka klas zaostrza się, tak wraz z cywilizowaniem internetu wzrasta kontrola i cenzura. Powinniśmy korzystać z tego, że sytuacja jest wstępnie rozpoznana i pewne strategie wypróbowane. Może być tak, że internet rozpadnie się na dwa internety – dla normików i dla kumatych, ale wtedy będziemy się zastanawiać nad nową strategią. Nie powinniśmy jednak liczyć na to, że obudzimy memami szerokie masy internetowego ludu. Powinniśmy kierować nasz przekaz do najlepszych 10% społeczeństwa, zwłaszcza do młodych, starać się przekonać znaczącą część z nich. Normalni ludzie zostaną przekonani niejako przy okazji.

Internet nie jest wirtualnym sznurem, na którym nacjoniści powieszają liberałów. Nie jest nawet bronią, którą odetniemy jedną z głów hydry. Ale jest nowym polem walki, na którym nowi, młodzi i myślący, nacjoniści odnoszą i będą odnosić liczne zwycięstwa. Dlaczego? Dlatego że w internecie toczy się walka metapolityczna – walka idei, a nasze idee są po prostu lepsze. To nie my musimy ukrywać dane na temat przestępczości i imigracji, ukrywać niewygodne fakty historyczne. Po naszej stronie stoi prawda i musimy umieć to wykorzystywać.

I tutaj dochodzimy do najciekawszej części rozważań nad walką w internecie – do jej związków z wojną psychologiczną, wojną tajemną oraz

metapolityką, a więc do ezoterycznego wymiaru walki ideowej toczonej w wirtualnej rzeczywistości.

Wojna psychologiczna, metapolityka, wojna tajemna

Zjawisko, nazywane kiedyś wojną psychologiczną, to po prostu znana wszystkim propaganda. Chodzi w niej o to, żeby poza standardowymi działaniami wojennymi osiągnąć cele prowadzące do zwycięstwa nad wrogiem. Z jednej strony dąży się do demoralizacji wroga, zastraszenia go, czy skłonienia do dezercji czy złożenia broni. Z drugiej – do podniesienia ducha bojowego we własnych szeregach. Wojna psychologiczna – podobnie jak zwyczajna wojna – toczy się zawsze najbardziej skutecznymi dostępnymi metodami. I tak jak w XXI wieku nie warto rzucać się z dzidą na myśliwce wielozadaniowe, nie warto rzucać się z drukowaną ulotką na nowoczesne media cyfrowe. Obecnymi środkami wojny psychologicznej dostępnymi dysydem są przede wszystkim kanały wirtualne – profile na portalach społecznościowych, rozpowszechnianie memów, czy zorganizowane trollowanie.

Wojna psychologiczna jest blisko związana z metapolityką. Czym jest metapolityka? Najprościej rzecz ujmując – są to idee i wartości, które porządkują politykę. A więc są to pewne aksjomaty, z którymi w ramach określonego systemu muszą się zgadzać wszyscy gracze polityczni – inaczej zostają usunięci poza nawias tego, co dopuszczalne. Należy podkreślić, że

wojna psychologiczna prowadzona przeciw systemowi na froncie wirtualnym wprost odwołuje się właśnie do metapolityki – poważni przeciwnicy systemu, a więc nacjonaści, identaryści, tradycjonaści, żądają rewolucji metapolitycznej: całkowitej zmiany idei porządkujących dyskurs polityczny. I to właśnie na poziomie wojny psychologicznej najłatwiej można do tychże idei bezpośrednio się odwoływać.

I tutaj właśnie wkracza poważnie rozumiana ezoteryka. Jeden z najważniejszych przedstawicieli radykalnego oporu przeciw współczesnemu światu – Julius Evola – opisywał zjawisko wojny tajemnej. Była to wojna, którą agenci globalnego przewrotu (czyli siły Anty-tradycji), prowadzą przeciwko przedstawicielom Tradycji. Nie rozważajmy tutaj wszelkich różnic ideowych między nami a Evolą, czy wszystkich konkretnych metod prowadzenia wojny tajemnej, które ten nasz Marcuse (tylko lepszy!) opisuje.

(Warto od razu nadmienić, że Evola przejął ten termin od Leona de Poncins, który uważał, że wojna tajemna to walka, którą wolnomularze prowadzą przeciw kościołowi katolickiemu. I należy od razu zaznaczyć, że całkowicie błędnym tłumaczeniem jest „wojna okultystyczna” - okultyzm to określony nurt filozoficzny i religijny, którego Evola nie był przedstawicielem.)

Do idei wojny tajemnej powrócił niedawno jeden z najciekawszych eseistów z kręgu amerykańskiej alternatywnej prawicy - Lawrence Murray. Zauważył, że wojna tajemna jest zewnętrznym przejawem wojny duchowej. Zatem wojna materialna to przedłużenie polityki, a wojna tajemna to przedłużenie metapolityki. Według Murray'a wojna tajemna jest blisko związana z wojną psychologiczną – ma ona wywołać określone reakcje u wroga, wzmocnić własne siły, a także przekonać niezdecydowanych do naszych idei. Ucieleśnieniem tej wojny jest obecnie właśnie internet. Nacjonaliści i tożsamościowcy byli w stanie odnosić w niej zwycięstwa właśnie dzięki redukcji asymetryczności między systemem, a jego przeciwnikami w rzeczywistości wirtualnej, a także dzięki sprawności młodego pokolenia w działaniu w Internecie.

Memy i magia

Ezoterycznych aspektów wirtualnej walki idei pojawia się jeszcze więcej. Miguel Serrano – u którego geniusz zawsze niebezpiecznie miesza się z obłędem – powiedział, że Internet jest obsesją określonej mniejszości, ponieważ jest on ucieleśnieniem ich dążenia do zakrycia rzeczywistości. Rzeczywistość wirtualna to ucieleśnienie Maji – zmiennej i wielokolorowej iluzji, znanej z filozofii Wedanty.

Paradoksalnie, jest to zbieżne z tym, co pisali analitycy z całkiem innej strony politycznej barykady. Francuski socjolog, jeden z głównych

przedstawiciele postmodernizmu, Jean Baudrillard opisywał świat mediów (a więc także świat wirtualny) jako symulację. Jednak symulacja to nie jest po prostu odbicie rzeczywistości – to alternatywna rzeczywistość. Symulacja jest bardziej atrakcyjna od rzeczywistości i zaczyna ją wypierać, czego dowodem może być chociażby to, jak wielu ludzi wybiera gry komputerowe zamiast aktywności fizycznej czy pornografię zamiast seksu. Internet rzeczywiście jest dziwnym poziomem rzeczywistości, który każdego myślącego człowieka musi skłonić do zadumy, a każdemu, kto jest obeznany z literaturą ezoteryczną, przyniesie na myśl wiele nieoczekiwanych skojarzeń. To właśnie w internecie niematerialne idee (tworzone w umyśle) mają najbardziej bezpośrednie przełożenie na rzeczywistość – tylko że na rzeczywistość wirtualną. Jednak co ciekawe – rzeczywistość wirtualna ma swoje implikacje w świecie materialnym.

Przywodzi to na myśl klasyczne działanie magiczne – wywoływanie efektu w bardzo subtelny sposób poprzez podejmowanie na pozór oderwanych od rzeczywistości czynności. Nie jest to nic nowego. Wystarczy przywołać pieśń, która zagrzewa do boju, slogan, który podchwytyją większe grupy społeczne, książkę, która inspiruje do działania, film, który budzi lęk przed określonym zjawiskiem, a także sączenie idei do umysłów przez dzieła kultury. To jest właśnie wojna psychologiczna – i do pewnego stopnia to też jest wojna tajemna. Tylko że tym razem my też mamy możliwość podjęcia w miarę równej walki. Zgodnie z zachodnią myślą ezoteryczną,

magia to poddawanie rzeczywistości zmianom poprzez wolę i wpływanie na świat materialny poprzez niematerialny. W internecie – podobnie jak w sztuce - rzeczy niematerialne są najbliższe naszych myśli i wyobrażeń.

Po wyborze Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych, Richard Spencer powiedział: „We memed Trump into existence” - „wymemowaliśmy Trumpa na prezydenta”. Jest to trochę prężenie mięśni na potrzeby uzyskania odpowiedniego efektu medialnego, ale jest w tym sporo prawdy. Środowiska szeroko rozumianej alternatywnej prawicy rzeczywiście wykonały ogromną pracę, prowadząc rzeczywistą wojnę propagandową przeciwko demokratom i konserwatystom w Internecie. Młode pokolenie białych wyborców najwyraźniej było języczkiem u wagi, który zadecydował o wyniku wyborów.

Dostrzegają to również nasi przeciwnicy ideowi i całkiem na serio obawiają się i próbują zwalczać naszą obecność w świecie wirtualnym. Dlaczego? Otóż tzw. „nowa lewica” uważa, że rzeczywistość nie istnieje - są tylko opinie, nie ma faktów, są tylko dyskursy, nie ma wydarzeń, jest tylko terytorium, nie ma mapy. A zatem, kto kontroluje dyskurs, kontroluje „rzeczywistość” - tworzenie mapy to tworzenie terytorium. Dlatego środowiska lewicowe z taką obsesją traktują symboliczny empowerment (wzmocnienie), przemoc symboliczną, medialną reprezentacją. Oni naprawdę wierzą, że jeśli zrobią odpowiednio dużo seriali, w których imigranci z Afryki Subsaharyjskiej będą przedstawiani jako bardziej

inteligentni od Europejczyków, to w końcu rzeczywiście tak się stanie. Myślenie lewicowe pierwotnie wywodzi się z racjonalizmu, ale obecnie w gruncie rzeczy ma więcej wspólnego z tym, jak rzeczywistość postrzegał Aleister Crowley niż Karol Marks.

I właśnie dlatego lewicowcy tak poważnie traktują usuwanie z przestrzeni medialnej czy wirtualnej określonych symboli, znaków, myśli, idei, czy postaci. Wielokrotnie śmialiśmy się z tego, że są jak buszmeni, którzy wierzą, że jeśli ktoś zamieści w przestrzeni publicznej określony symbol, to sprowadzi na ziemię zło – jeśli ktoś narysuje swastykę, to nadejdzie armia nazistowskich zombie i zje mniejszości etniczne. I okazuje się, że do pewnego stopnia mieli rację.

Tak właśnie było z tą całą amerykańską alternatywną prawicą. Większość postaci tego ruchu to dawni libertarianie, którzy całkiem na serio przełamali liberalną narrację, ale libertarianizm nie dał im właściwych odpowiedzi na najważniejsze pytania. Przypadkiem odkryli, że pewne zapomniane, ośmieszane i zakazane idee nacjonalistyczne dobrze opisują naszą rzeczywistość. Najpierw podeszli do tego ironicznie, potem bardziej poważnie. Podobnie było z ich memami – najpierw to były żarty, ale przyniosły realną zmianę i zaowocowały powstaniem realnego środowiska offline. W prowadzonej przez siebie wojnie psychologicznej zaczęli używać żaby Pepe, nadawali nowe znaczenia istniejącym memom i tworzyli nowe. W dość typowo subkulturowo-internetowym stylu zaczęli tworzyć własny

hermetyczny język, aż w końcu dla żartu wymyślili religię ezoterycznego kekizmu (bazującą na fakcie, że egipski bóg chaosu Kek miał postać żaby i na jednym z jego wizerunków widać postać, która wygląda, jakby siedziała przy komputerze). Zaczęli bawić się w szukanie skojarzeń, dostrzeganie w zbiegach okoliczności czegoś więcej niż tylko przypadek, zaczęli czytać i cytować Evolę, Guenona czy Serrano. Dość dziwną drogą doszli (czy raczej - wrócili) do tego, co można nazwać myśleniem tradycyjnym – rzeczywistość wykracza poza to, co możemy zmierzyć i zważyć.

Kolejne przykłady udowadniają, że „meme magic is real” („magia memów działa”). Rzeczywistość istnieje niezależnie od tego, co o niej myślimy – świat materialny nie zniknie, gdy człowiek zamknie oczy, a świat wirtualny nie przestanie istnieć, gdy człowiek się z niego wyloguje. I jeżeli wojna tajemna jest prawdziwa, a bronią w niej jest internetowa propaganda, nie ma różnicy, czy będzie ona dokonywana ironicznie – powinna przynieść określone realne efekty. Tak samo jak nie ma różnicy czy strzelając z pistoletu mamy do tego ironiczny stosunek – pocisk i tak dosięgnie celu i zada określone straty.

Zakończenie

Na koniec zastanówmy się, jaka może być nacjonalistyczna perspektywa internetu i internetowego aktywizmu.

Przede wszystkim, nie podzielamy przekonania o tym, że świat nie istnieje poza naszymi przekonaniem. Rzeczywistość materialna istnieje, a mapa to nie terytorium. Ale rzeczywistość wirtualna także została przywołana do istnienia, a mapowanie terytorium wpływa na jego postrzeganie. Rzeczywistość wirtualna jest po prostu kolejnym elementem współczesnego świata, który w najbliższym czasie nie zniknie.

Nie uważamy również, że rzeczywistość wirtualna zastąpiła materialną. Rzeczywiście – symulacja dąży do wyparcia życia offline. To, że zgadzamy się z diagnozą pewnych autorów, nie znaczy, że zgadzamy się z prognozą. Jak zauważył Guillaume Faye – nie jesteśmy deterministami technologicznymi. Nie wierzymy w liberalne kłamstwo końca historii, czy globalistyczne opowieści o nieuchronności nowego porządku światowego. Zaistnienie nowych technologii nie sprawiło, że możliwym jest tylko jeden sposób myślenia i jeden sposób życia wyznaczony przez architektów globalnego systemu. Archeofuturyzm to wykorzystanie nowych środków do starych celów. Ponadczasowe idee mogą być propagowane za pomocą zarówno druku jak i Internetu.

Jak twierdził Martin Heidegger, zagrożenie technologii to nie same nowe technologie, tylko myślenie technologiczne – postrzeganie świata jako zasobu, który można dowolnie wykorzystać dla osiągnięcia zysku. Tak właśnie myślą architekci globalnego systemu. Myślenie technologiczne było obecne dużo wcześniej, niż pojawiły się pierwsze komputery. Naszym

celem nie jest przekształcenie całego świata w globalny hipermarket. Jesteśmy strażnikami świata i obrońcami bytu, a więc wrogami myślenia technologicznego.

I to jest niezwykle ważny aspekt wewnętrznej walki duchowej – przekroczenie myślenia technologicznego. Świat jako wartość autoteliczna, którą należy bronić. Wartości duchowe zamiast materialnych, twarde idee przynoszące niepokój i ciężar odpowiedzialności zamiast miękkich mrzonek przynoszących radość z upadku, przyjaźń i braterstwo zamiast lajków i followersów, miłość i seks zamiast pornografii. Z takich pozycji można prowadzić wojnę tajemną, której jednym z przejawów jest wojna psychologiczna prowadzona w Internecie.

Nie chodzi o to, żeby zastąpić aktywizm materialny aktywizmem wirtualnym – chodzi o to, że otwarty jest nowy front walki. I jest to szansa, którą można wykorzystać. Kiedyś środowiska alternatywne wobec systemu miały praktycznie zerową kontrolę nad tym, jak przedstawiano je w mediach. Można było zrobić najlepszą nawet demonstrację – ale co z tego, jeśli w gazetach wydrukują, w radiu powiedzą, a w telewizji pokażą przebitki z podstawionym gościem z flagą ze swastyką, lub co gorsze, w ogóle wszystko przemilczą. Teraz nawet jeśli media głównego nurtu pokażą coś w określony sposób, można poprzez media internetowe i portale społecznościowe stworzyć swoją alternatywną narrację i trafić z nią

do tych mniej zorientowanych. Tak było w przypadku Marszów Niepodległości, gdy udało się przebić przez narrację tworzoną przez tzw. „profesjonalnych dziennikarzy”.

Świetnym przykładem dobrej kontroli płaszczyzny zarówno materialnej jak i wirtualnej są działania identytarystów na zachodzie. Krótkie, niezapowiedziane akcje, na których nie mogą pojawić się kontrdemonstranci, żeby jęczeć i rzucać w uczestników gównem, a mainstreamowi dziennikarze nie mogą narobić niekorzystnych zdjęć. Identytaryści sami tworzą treści, które wrzucają potem do mediów społecznościowych – jeśli ktoś chce o tym pisać, musi korzystać z ich materiałów. Oczywiście nie są oni w stanie całkowicie kontrolować przekazu medialnego (obecnie nie mogą tego zrobić nawet media głównego nurtu, państwo, czy korporacje). Ale w ten sposób identytaryści ustawiają narrację – cały dyskurs musi jakoś odnosić się do ich pierwotnej wypowiedzi.

Jeden z moich ulubionych obłąkanych geniuszy - Miguel Serrano - pisał, że współczesna walka o przetrwanie Europy toczy się na płaszczyźnie niematerialnej i od jej wyniku zależy to, czy przetrwamy i kto będzie rządził światem. Nieważne czy i w jakim stopniu zjawiska symboliczne mają charakter jedynie psychologiczny, wewnętrzny wobec umysłu, czy raczej obiektywny i duchowy, zewnętrzny wobec umysłu. Ważne że nasza walka toczy się faktycznie przede wszystkim o świadomość i ducha naszych

otumanionych czy uśpionych pobratymców – i toczy się na płaszczyźnie symbolicznej, której istotnym przejawem jest rzeczywistość wirtualna. Kto chce walczyć i zwyciężać w tej symbolicznej i niematerialnej wojnie o ducha Europejczyków, tej kolejnej odsłonie wojny tajemnej, musi rozumieć, jak ta rzeczywistość funkcjonuje. System już traktuje tę nową odsłonę wojny tajemnej śmiertelnie poważnie – brytyjscy nacjonaści już mają procesy karne za memowanie, a ich aktywność wirtualna może zostać zakwalifikowana jako działania zbrojne.

Carl von Clausewitz napisał: „Wojna jest jedynie kontynuacją polityki innymi środkami”. Jednak w XXI wieku: „Wojna tajemna jest jedynie kontynuacją metapolityki innymi memami”.

Jarosław Ostrognew

Mariusz Patey – „Wokół „Akcji Wisła”



Wraca ostatnio temat akcji Wisła. Przypomnijmy, komuniści kontynuując politykę przesiedleń ludności białoruskiej i ukraińskiej na tereny BSSR i USSR prowadzonej już od 1945 r. tym razem zdecydowali się wysiedlić głównie grekokatolickich Ukraińców, Łomków i Bojków na tzw. Ziemię Odzyskane. Przy tej okazji powtarza się ciągle mity wyprodukowane przez propagandę komunistyczną. A w dużym skrócie prawda wyglądała z dużą dozą prawdopodobieństwa jednak inaczej.

Niektórzy dowódcy UPA w 1945 r. uznali już milcząco swój błąd strategiczny polegający na niedocenieniu siły Sowietów i przecenieniu możliwości Niemców. III wojna światowa oddala się w bliżej nieoznaczoną przyszłość, a alianci podchodzili z dużą dozą nieufności do przedstawicieli wszelkich niedemokratycznych nurtów politycznych. Po II wojnie światowej miały miejsce plebiscyty i referendy o przyszłości spornych ziem

dawnej Rzeczypospolitej decydować miała siła Armii Czerwonej i aparatu bezpieczeństwa komunistycznej władzy. W tych warunkach nawiązana została (na poziomie taktycznym) współpraca AK-WiN z lokalnymi strukturami UPA. Ustały napady na polską ludność cywilną. Również podziemie narodowe zaczynało czynić rozeznanie na temat możliwości zawieszenia walk i skierowania sił przeciw komunistom i NKWD. Znana jest historyczna misja podpor. Stanisława Kossakowskiego z NZW (co prawda nie udana).

Doszło do spektakularnej, wspólnej akcji Polaków i Ukraińców przeciwko sowiecko-komunistycznej władzy w Hrubieszowie i uwolnieniu przetrzymywanych w lokalnym więzieniu żołnierzy polskiego podziemia. Współpraca została przerwana, bowiem w tym czasie komunistyczne formacje zbrojne, KBW, komunistyczna agentura ulokowana w lokalnych wiejskich samoobronach, LWP i NKWD w polskich mundurach zaczęły prowadzić pacyfikacje wsi ukraińskich. Cel był jasny -- sprowokowanie UPA do dalszych działań przeciw ludności polskiej. Niestety, ta prowokacja komunistom się udała. Współpraca polskiego i ukraińskiego podziemia została wstrzymana. Rzezie kontynuowano. Mitem jest zatem zaangażowanie się komunistycznych sił bezpieczeństwa w walkę z ukraińskim podziemiem w celu ochrony ludności polskiej. Celem było tylko i wyłącznie utrwalenie "władzy ludowej". Polacy w tej grze o tron traktowani byli przez komunistów czysto instrumentalnie.

UPA działała dłużej niż WiN, dlatego że NKWD, UB i KBW skupiły się na walce z polskim podziemiem, nie ukraińskim. UPA była im czasowo potrzebna by budzić strach i legitymizować władzę ludowa na tamtym obszarze.

Ciekawe, że czasem dochodziło do współdziałania NKWD z oddziałami ukraińskimi przeciwko polskim organizacjom podziemnym. Rozbudzane były nadzieje na przesunięcie granicy polsko sowieckiej jeszcze bardziej na zachód.

Dochodziło też do prób wciągnięcia polskiego podziemia do współpracy z komunistyczną administracją na odcinku ukraińskim. Chodziło o wsparcie polityki przesiedleń Ukraińców na tereny USSR.

Polityka dziel i rządź władz komunistycznych była skuteczna, bowiem grała na istniejących animozjach polsko-ukraińskich. Dziś wiemy, że "Akcja Wisła" miała inne cele niż zniszczenie UPA (to było załatwione jakby przy okazji). Celem komunistów było przeprowadzenie eksperymentu społecznego najpierw na ziemiach przyłączonych a potem w całej Polsce. By zacząć komunizację mieszkańców zagospodarowujących Ziemię Zachodnie postanowiono wymieszać ludność polską przybyłą z Kresów (jak liczyli komuniści wykorzeniona i wdzięczna Armia Czerwona za ocalenie z rzezi Wołynia i Małopolski Wschodniej) z ukraińską i

żydowską. Taki miks gwarantował, że to "władza ludowa" miała być oparciem, gwarantem bezpieczeństwa i arbitrem w sporach.

Eksperyment częściowo się udał. Mieszkańcy ziem zachodnich głosują po dziś dzień częściej na post komunistów, mniej są przywiązani do tradycyjnych wartości, słabsze są więzi rodzinne i więcej notuje się rozwodów. Tam też powstawały polskie sowchozy i kołchozy. Do dziś więcej na Ziemiach Zachodnich własności państwowej, mniej rodzinnych gospodarstw rolnych niż w innych regionach kraju. Oczywiście, wielu Polaków kresowych nie dało się uwieść komunistycznej propagandzie i trwali w biernym oporze. To z nich wyrósł ruch społeczny Solidarność Wrocławia, Szczecina, Gdańska, Olsztyna.

Wracając jednak do końca lat czterdziestych, akcja Wisła była ściśle powiązana z operacjami przeprowadzonymi w ZSRS na ziemiach zabranych. Nie bez przyczyny Rosjanie przyjmowali chętniej prawosławnych Ukraińców z Chełmszczyzny, ale nie bardzo chcieli unickich Łemków z Bieszczad.

W tym czasie trwała bowiem walka z unitami w USSR – aresztowania, rabunek mienia a w końcu przymusowe włączenie kościoła greckokatolickiego do struktur cerkwi prawosławnej wytworzyło silną opozycję wiernych do władzy sowieckiej. Stalin zresztą, nasiedlał intensywnie polskie województwa wschodnie zabrane nam ludnością

rosyjską. Tylko jej wierzył. Nie chciał zatem kolejnej fali repatriantów wrogo nastawionych do władzy sowieckiej. We Lwowie w 1950 r ludność rosyjska stanowiła 20% mieszkańców. Ukraińców zatem, w 1947 r już nie chciał. Sam zresztą przesiedlił w tym czasie około 70 tysięcy Ukraińców na wschód.

Ukraińcy zamieszkujący Polskę nie ciesząc się zaufaniem i sympatią Polaków (co zrozumiałe) mieli posłużyć do łatwiejszej komunizacji polskiego społeczeństwa. Wiele wiosek ukraińskich było zresztą skomunizowanych i wrogo nastawionych nie tylko do naszego podziemia, ale także do UPA. Stwierdzenie, że komuna nie mogła sobie poradzić ze słabnącą partyzantką upowska (w 1947 r liczyła ona raptem 1500 ludzi) też można między bajki włożyć. Do apologetów władzy komunistów, którzy szukają dobrych intencji w działaniach Stalina jedna uwaga – jeśli Stalinowi drogi byłby los polskiej ludności to nie paktowałby z Hitlerem i nie dokonałby rozbioru Polski.

Mariusz Patey

Socjalnacionalista – „Rzecz o polityce społecznej”



Chciałoby się powiedzieć, że polski ruch narodowy przeżywa swoistą ewolucję, a stanie w wygodnym rozkroku pomiędzy "socjalizmem" i "kapitalizmem" to problem natury abstrakcyjnej. Niestety, nie jest to prawdą. Mimo upływu wielu lat, polskie środowisko nacjonalistyczne nie wypracowało żadnej własnej koncepcji ekonomiczno-gospodarczej, która byłaby jakkolwiek reprezentatywna dla większej części tego środowiska. Polscy nacjonaści wiele do powiedzenia mają w kwestii polityki historycznej, religii, geopolityki oraz bieżących wydarzeń, aczkolwiek gdy przychodzi do dyskusji na tematy związane z systemami gospodarczymi i polityką społeczną, solidarnie nabierają wody w usta, operują ogólnikami lub powielają opinie ludzi, którzy służą innej sprawie. Ciężko jest wypowiadać się na takie tematy, gdy nie jest się świadomym tego, czemu cała ta polityka ma służyć - w swoim krótkim eseju postaram się wyjaśnić dlaczego pojęcie takie jak "sprawiedliwość społeczna" powinno być najistotniejszym ideologicznym paradygmatem nacjonalistycznego punktu widzenia na politykę społeczną, a także wskażę konkretny system

gospodarczy, w którym wizja sprawiedliwości społecznej jest realna. Czym jest polityka społeczna i jaka jest jej rola? Polityka społeczna jest to zbiór rozwiązań i działań, które rządzący realizują w celu zaspokojenia potrzeb społeczeństwa oraz w celu negowania istotnych problemów, takich jak np. ubóstwo, bezrobocie lub nierówności społeczne. Dla podbudowy merytorycznej przytoczę jeszcze definicję naukową - prof. A. Rajkiewicz definiuje politykę społeczną w taki sposób: „Polityka społeczna to sfera działalności państwa, innych ciał publicznych i sił społecznych, która zajmuje się kształtowaniem warunków życia ludności oraz stosunków międzyludzkich.” (1)

Polityka społeczna jest działalnością na wielu płaszczyznach - demograficznej, zatrudnieniowej, mieszkaniowej, migracyjnej czy zabezpieczeniowej; a jej specyfika polega na wzajemnej współzależności wszystkich części składowych z innymi sektorami polityki państwa, w szczególności z systemem gospodarczym oraz z polityką fiskalną. Polityka społeczna dąży do społecznego postępu oraz wyeliminowania lub ograniczenia wszelkich patologicznych zjawisk, które paraliżują społeczeństwo. Obecny w polskiej konstytucji model "społecznej gospodarki rynkowej" jest w rzeczywistości systemem kapitalistycznym, w którym pod uwagę bierze się pewne potrzeby społeczeństwa - wymusza więc pewien kompromis interesów pomiędzy "klasą posiadającą" oraz większością społeczeństwa. Niestety, kompromisy (już w samym swoim

założeniu) mają to do siebie, że nie satysfakcjonują żadnej ze stron - w tym przypadku nie satysfakcjonują ani wąskiej grupy beneficjentów kapitalizmu, ani mas pracujących na dobrobyt polskiej klasy posiadającej. Dla nacjonalisty oczywistym wydaje się fakt, że istniejący status quo należy zmienić, a politykę społeczną kształtować tak, by powolnie wymierający naród polski mógł wyrwać się z demograficznego niebytu, w którego odmęty spycha nas globalny system kapitalistyczny.

Polsce potrzeba systemu, w którym sprawiedliwość społeczna będzie ideowym pryncypium - rolą nacjonalistów jest takiego systemu zaproponowanie. By stymulować wskaźniki demograficzne, najpierw trzeba zbudować system, w którym ludzie będą stabilnie żyć na odpowiednio wysokim poziomie - Polacy potrzebują wypłaty z uczciwą siłą nabywczą, stabilnych warunków zatrudnienia, powszechnego dostępu do mieszkań oraz poczucia pewności, że w razie jakichkolwiek życiowych problemów mogą liczyć na pomoc ze strony państwa. Potrzebna jest także gwarancja uczciwej emerytury, której wartość będzie niezależna od inflacji lub wahań koniunkturalnych, a która adekwatna będzie do dotychczasowego poziomu życiowego. Potrzeba gruntownej zmiany na poziomie systemowym, potrzebne na to wszystko są też pieniądze. Skąd je brać?

Zwróciłem uwagę na współzależność polityki społecznej od polityki ekonomicznej i gospodarczej - właściwie cała polityka jest siecią zależnych

od siebie powiązań, stąd też naturalnym wydaje się być fakt dyslokacji - redystrybucji środków finansowych pomiędzy poszczególnymi finansowymi sektorami państwa. Istnieją kraje takie jak Szwecja, w których pieniądze na politykę społeczną pochodzą (w znacznej części) z podatków płaconych przez znajdujące się w prywatnych (szwedzkich) rękach korporacje, lecz w kraju tak skolonizowanym gospodarczo jak Polska, wpływy z podatków od firm nie stanowią zazwyczaj nawet dziesiątej części rocznych wpływów budżetowych. By zaoferować społeczeństwu politykę socjalną na odpowiednim poziomie, pieniędzy na nią należy szukać poza kieszenią statystycznego podatnika - samo podwyższanie powszechnych ciężarów podatkowych (PIT, VAT) celem poprawy jakości życia jest nieefektywne. Polska gospodarka potrzebuje gruntownej przebudowy, akumulacji kapitału w polskich rękach, repolonizacji rynku i pieniędzy pochodzących z podatków zarówno od prowadzących działalność na terenie Polski firm, jak i dywidend pochodzących z państwowych/publicznoprywatnych spółek. Przełożenie nacjonalizmu na płaszczyznę polityki społecznej i gospodarczej to socjalizm stosowany w praktyce, innej drogi nigdy nie było i nie ma.

Socjalnacjonalista

(1) A. Chłoń-Domińczak, M. Góra, Polityka społeczna – podstawowe cele, funkcje i zasady [w:] <https://www.e-sgh.pl/niezbednik/plik.php?id=27285092&pid=2335>

Miłosz Tamulewicz – „Czy grozi nam kryzys grecki?”



Czy grozi nam „kryzys grecki”?

Skanując środowisko narodowe w poszukiwaniu poglądu, jaki prezentują na sprawy gospodarcze, możemy natknąć się na przeróżne koncepcje, nierzadko ze sobą sprzeczne. Narodowcy dryfują od idei solidaryzmu, przez ordo liberalizm, aż po minarchizm (minimalny etatyzm), który promuje państwo minimalistyczne. W niniejszym tekście nie zamierzam jednak skupiać się na dostarczaniu gotowych rozwiązań, a na analizie tych, które aktualnie funkcjonują.

Historycznie patrząc przeszliśmy przez epoki: bulionizmu (posiadanie kruszców jako wyznacznik bogactwa) i merkantylizmu (handel jako wyznacznik bogactwa) aż do okresu, w którym znajdujemy się obecnie. Możemy go nazwać umownie „Epoką Taniego Pieniądza”. Dokładnie jest to moment, w którym dostęp do pieniądza jest bajecznie prosty i

rekordowo tani. Stopy procentowe stoją na nienotowanych nigdy w historii poziomach. Czasami dochodzi do sytuacji (Szwajcaria), gdzie stopy procentowe spadają poniżej zera to znaczy, że trzymanie pieniędzy w banku wiąże się z ponoszeniem kosztów. Czym skutkuje taka polityka? Oczywiście rekordowym zadłużeniem sektora prywatnego i publicznego. Poza tym to tani kredyt pompuje chociażby wartość mieszkań, notowania giełd czy inflację.

W takim otoczeniu (niskich stóp procentowych) funkcjonują banki, które zmuszone są do ponoszenia coraz większego ryzyka w celu osiągnięcia jakiegokolwiek zysku. Na porządku dziennym są takie procedury jak: sekurytyzacja (wypuszczanie papierów wartościowych pod zastaw przyszłych zysków); wypożyczanie złota i papierów wartościowych od prywatnych inwestorów, w celu zabezpieczenia otwieranych pozycji na rynku instrumentów pochodnych. Taką sytuację można porównać do wynajęcia od osoby postronnej mieszkania w celu wzięcia na niego kredytu hipotecznego. Nie trzeba chyba podkreślać jak ryzykowne są to przedsięwzięcia.

Ludzie oswoili się z kredytem. Zadłużenie państw już od dawna przekracza dopuszczalne normy a dodając do niego zadłużenie korporacyjne i prywatne osiągamy wartości znacznie przewyższające PKB poszczególnych obszarów.

Czołowym przykładem jest tutaj Japonia, która uchwaliła niedawno rekordowy budżet na rok 2018. Zakłada on zwiększenie deficytu o ponad 6% swojego PKB. Jest to posunięcie absurdalne patrząc na to, że Japonia obecnie jest najbardziej zadłużonym państwem świata.

Skoro sytuacja jest tak tragiczna, to dlaczego nie słyszymy o kryzysie ekonomicznym i bankructwach przesadnie zadłużonych państw? Otóż obecne funkcjonowanie światowej gospodarki opiera się na założeniach wymyślonych przez Keynsa. Oto jakich rad udziela on, jeżeli chodzi o radzenie sobie z kryzysem: „(...) Należy w czasie kryzysu pobudzać popyt poprzez działania odwrotne do tych wynikających z teorii klasycznej. Należy zatem obniżać stopy procentowe, obniżając tym samym koszty inwestycji, stosować ulgi inwestycyjne w systemie podatkowym, ratować upadające przedsiębiorstwa, a nawet bezpośrednio »pompować« pieniądze w rynek za pomocą bezpośrednich inwestycji państwa, czyli stosować na możliwie jak najszerszą skalę rozmaite działania interwencjonistyczne.”

Skoro zatem stopień zadłużenia w stosunku do PKB przestał być jakimkolwiek wyznacznikiem, co zajęło miejsce tego papierka lakmusowego?

STABILNY DŁUG

Obecnie istnieje nieco zmodyfikowany pogląd na zadłużanie się państwa. Proces zadłużania powinien być zgodny z trzema zasadami: korzyści z przeprowadzanych inwestycji muszą być większe niż koszty (wliczając koszty obsługi zadłużenia), inwestycje te nie mogą być do zrealizowania przez sektor prywatny i ostatnia najważniejsza reguła: całkowity poziom zadłużenia musi być stabilny. Spójrzmy prawdzie w oczy: żaden postulat socjalny, czy jak niektórzy wolą: „rozdawniczy”, nie spełnia pierwszych dwóch warunków. Z racji tego wszystkie państwa i potencjalni inwestorzy przejmują się tylko ostatnim z nich, czyli stabilnością zadłużenia.

Na marginesie warto wspomnieć, że Polska ma obecnie dużo planów spełniających wszystkie trzy założenia: usprawnienie żeglugi śródlądowej włączając w to połączenie Odry i Wisły, przekopanie mierzei helskiej czy budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego. Trzymam kciuki za ich realizację. Czołowym przykładem ze Stanów Zjednoczonych może być zaproponowana przez Eisenhowera w 1956 roku budowa sieci dróg, które kosztowały podatników 450 mld dolarów, jednak korzyści, które wyniknęły z jej budowy, już dawno przekroczyły koszt projektu i cały czas rosną.

Stabilność zadłużenia definiowana jest przez model stabilności deficytu pierwotnego (ang. „Primary Deficit Sustainability” – PDS). W 2012 roku nad modelem tym pochylił się John Makin publikując: „Trillion-Dollar

Deficits Are Sustainable For Now, Unfortunately”, co można przetłumaczyć wprost: „Bilionowe deficyty są stabilne na chwilę obecną. Niestety.” Model ten składa się z zaledwie kilku współczynników: B – koszty kredytu, R – realna produkcja, I – inflacja, T – podatki i S- wydatki. W skrócie BRITS. Założenie tego modelu jest proste: produkcja pomniejszona od odsetki od długu musi być większa od deficytu pierwotnego. **Deficyt pierwotny** to nic innego jak podatki pomniejszone o wydatki (T – S).

Cały wzór prezentuje się następująco: $(R+I) - B > |T-S|$

Jeżeli powyższa prawidłowość jest zachowana to znaczy, że dług jest stabilny. Oznacza to, że gospodarka jest zdolna do generowania pewnej nadwyżki kapitału, którą można wykorzystać do spłaty części zadłużenia.

Oczywiście model PDS jest bardzo podatny na manipulacje. Jednym ze sposobów wpływania na stabilność jest podnoszenie podatków, które zmniejsza deficyt pierwotny po prawej stronie równania. W Polsce na ten model obecnie bardzo mocno działa program 500+, który zwiększa inflację i PKB, czyli lewą stronę równania. W niedalekiej przyszłości mocnym impulsem może być podnoszenie stóp procentowych zapowiedziane przez Radę Polityki Pieniężnej, co ma bardzo mocny wpływ na koszty kredytu. W ten sposób można bardzo długo maskować rosnące zadłużenie sektora publicznego.

Co się dzieje, gdy powyższe równanie nie zostanie spełnione? Przeanalizujemy sytuację na przykładzie największej gospodarki świata w 2015 roku i zastanówmy się, jakie kroki mogła podjąć Rezerwa Federalna żeby przeciwdziałać kryzysowi. Najpierw wypiszmy wszystkie składowe modelu BRITS. Koszty zadłużenia USA w 2015 roku wynosiły 1,5%, w odniesieniu do PKB, wzrost gospodarczy był na poziomie 2,5% , inflacja osiągnęła 1% a deficyt pierwotny był równy 4%.

$$(2,5+1) - 1,5 < 4 ; 2 < 4$$

W tym wypadku prawa strona równania jest większa od spodziewanego wzrostu, co oznacza, że dług jako odsetek PKB się powiększa i nie ma stabilności zadłużenia. Oczywiście w 2015 roku gospodarka USA nie upadła, gdyż pod uwagę brany jest trend i możliwości naginania elementów modelu do pewnych granic w ramach których ich wzajemne interakcje nie zniwelują zupełnie wpływu na model PDS.

Co w powyższym przypadku mógł uczynić FED? Zmniejszyć prawą stronę równania poprzez podniesienie podatków jednocześnie zwiększając lewą stronę poprzez luzowanie ilościowe (ang. quantitative easing), które ma docelowo wywołać inflację.

POLSKA STABILNOŚĆ

Jak wygląda model PDS w przypadku Polski w 2017 roku? Elementy składowe prezentują się następująco: wzrost PKB – 4,4%, inflacja – 2,5%, obsługa zadłużenia – 2%, deficyt pierwotny – 2%. Wstawiając dane do modelu równania otrzymujemy:

$$(4,4 + 2,5) - 2 > 2 ; 4,9 > 2$$

Powyższy przykład pokazuje, że nasze zadłużenie jest na bardzo stabilnym poziomie, co pozostawia duże pole do manewru osobom nadzorującym realizację polskiego budżetu.

Należy jednak wspomnieć o tym, że stopy procentowe w Stanach Zjednoczonych wzrosły pod koniec 2017 roku, co spowoduje znaczny wzrost kosztów obsługi naszego zadłużenia (będziemy zmuszeni podnosić własne stopy procentowe żeby przyciągnąć kapitał). Gdyby w 2018 roku, koszty obsługi zadłużenia dalej rosły, a nasz wzrost gospodarczy nie utrzymał się, na tak wysokim poziomie jak dotychczas, to stanęlibyśmy przed ryzykiem niestabilności zadłużenia.

PODSUMOWANIE

Przewidywanie przyszłości na rynkach finansowych w obecnych czasach jest jak wróżenie z fusów, biorąc pod uwagę fakt, że istnieją gracze, którzy potrafią poruszać całą szachownicą. Może być tak, że w przyszłym roku będzie miał miejsce zapowiadany od dawna upadek dolara, na którym

skorzysta zadłużona po uszy Japonia, której dług z dnia na dzień wyparuje, a Chiny posiadające bilionowe rezerwy w USD staną się bankrutem. Być może czynnikiem zmieniającym warunki gry będą kryptowaluty, o których nawet FED mówi, że warto by było zainteresować się wypuszczeniem swojej własnej wersji.

Osobiście uważam jednak, że w 2018 roku będą obowiązywać dotychczasowe zasady i status quo zostanie utrzymany. W takim wypadku Polska powinna zredukować swoje zadłużenie korzystając ze sprzyjającej koniunktury i inwestycji, które w przyszłym roku mają lawinowo u nas ruszyć.

Uważam, że uchwalanie budżetu z deficytem ma sens tylko, jeśli spełnione są wymienione przeze mnie wcześniej 3 warunki. Gwarantują one zwrot z poniesionych kosztów zadłużenia. Uchwalając budżet z deficytem jesteśmy skazani na łaskę międzynarodowych instytucji finansowych, co znacznie utrudnia powrót do podmiotowości naszego państwa.

Miłosz Tamulewicz

Johan Trichet – „Dzień Niepodległości w Warszawie – podróżnik między światami”



Dzień Niepodległości w Warszawie – podróżnik między światami

Każdego roku 11 listopada Polska obchodzi swoje święto narodowe. Polacy nazywają je Narodowym Świętem Niepodległości. Podwaliny pod owe obchody położył naczelny dowódca polskich wojsk, Józef Piłsudski, dzięki któremu 123 lata długiej defragmentacji Polski przez Prusy, Austro-Węgry i Rosję zakończyły się.

Od roku 1937, każdego 11 listopada, organizowane są obchody na rzecz świętowania wciąż młodego państwa na wschodzie. Jeżeli ktoś zaczytywałby się w emanacje pochodzące z naszej lokalnej prasy, mógłby

pomyśleć, że w dniu tym chodzi o gwałtowne zamieszki. Sugeruje się nawet, że większość Polaków uczęszcza na obchody wyłącznie w tym celu.

Jako Niemcy mamy raczej rozdarty stosunek do Polski. Owa rozbieżność wypływa wyłącznie z naszej wspólnej historii. Aby uzyskać dokładniejsze spojrzenie na ten kraj oraz na największy patriotyczny marsz w Europie, udaliśmy się samochodem prosto do polskiej stolicy.

Warszawa – miasto przez Zachód zapomniane

Europa stoi swoim sukcesem gospodarczym. Cieszy się swoją kunsztownością oraz dziedzictwem kulturowym. Jest ona światowym skarbem nauki oraz technologii. Myślimy w tym momencie o centrach jak Paryż, Berlin, Londyn, Rzym, Madryt czy Bruksela. O wszystkich wielkich aglomeracjach europejskich, które koncentrują w sobie zachodni geniusz i którym świat zawdzięcza tak wiele. Lecz kto w dzisiejszych czasach myśli o Warszawie? Jeżeli ktoś w Niemczech mówi o Europie wschodniej, to ma na myśli Moskwę lub Petersburg. Któż pomyśli o owym patriarszym mieście, które, jakby nie patrzeć, stoi tak blisko naszych drzwi? A jednocześnie może spoglądać na swoją bardzo długą historię. Pierwszy raz o owym mieście wspomniano już w 1241 roku.

Warszawa, której poświęciliśmy cały weekend, ma wiele do zaoferowania żarliwemu Europejczykowi. W trakcie drugiej wojny światowej jej

starówka została niemal doszczętnie zrównana z ziemią, lecz Polacy odbudowali swoją stolicę. Dziś możemy podziwiać niektóre z pozostałych w niej budynków reprezentujących estetykę dawnej architektury. Nawet dziś duch Okcydentu jest w tym mieście bardzo żywy. Na prawo i lewo stare kamienie upiększają fasady domów. Symbole polskiej ludowej religii – katolicyzmu – są wszechobecne. Tysiące lat Chrześcijaństwa, które zachowało w sobie zarówno Germanizm jak i Słowiańszczyznę, są wszechobecne i przetrwały w dobrym stanie. Jako Niemiec przyjeżdżający z ateistycznego wschodu [była NRD], poczułem się jakbym podróżował w czasie. Zdążyłem już zwiedzić mnóstwo metropolii i stolic w Europie. Zazwyczaj wybierałem kierunek zachodni. Warszawa to pierwsza z europejskich stolic, która wydaje mi się nie mieć problemu imigracyjnego. Przechadzając się jej ulicami przez długi czas zdałem sobie nagle sprawę, że otaczają mnie sami Europejczycy. Chociaż byłem w obcej stolicy, nie czułem się obco. Przeciwnie, czułem bliskość z tym narodem, który tak dumnie trzyma się własnych korzeni. Czułem się jak Europejczyk, pośród swoich braci i siostr. Przede wszystkim czułem się bezpiecznie, bez owego pulsującego dźwięku roztrzaskującego głowę, który informowałby mnie o możliwości ataku terrorystycznego. Po raz pierwszy od długiego czasu stałem w wielkim europejskim mieście i czułem się wolny. Odkryłem dawno zapomniane miasto. Odkryłem Warszawę.

Polska – kraj wiary i wartości

Biorąc pod uwagę fakt stuleci rozbiorów i będących ich konsekwencją perturbacji tożsamości, które ów naród musiał przeżyć, byłem zdumiony tą, dla nas zachodnich Europejczyków, a zwłaszcza Niemców, wręcz zawstydzającą nas narodową dumą.

Nie było w Warszawie ulicy, która nie zostałaby udekorowana polską narodową flagą. Już w piątek, na dzień przed oficjalną ceremonią, spotkaliśmy wielu młodych i starszych Polaków, którzy publicznie manifestowali swoją dumę z polskości nosząc biało-czerwone opaski. Wielu z nich nosiło je wraz z Kotwicą, symbolem polskiej Armii Krajowej, która stawiała opór niemieckim siłom okupacyjnym.

Nie można sobie wyobrazić Polski bez wspomnianego już wyżej katolicyzmu. Spędziliśmy cały weekend z naszymi towarzyszami we wschodu i niemalże żenujące było dla mnie zdawanie raportów z groteskowych scenerii, jakie rozgrywają się w naszych miastach. Miałem prawdziwą mękę z narracją dotyczącą naszych pomyślonych polityków oraz implementacji szaleństwa ideologii gender czy homoseksualizmu w naszym społeczeństwie. Wyrazy twarzy moich towarzyszy głęboko mnie zawstydziły. Nie usłyszałem od nich głosów oburzenia, ani gorączkowych nawoływań, aby zmienić to szaleństwo. Zamiast tego uraczyli mnie jedynie wyrozumiałym, pobłażliwym kręceniem głów. Nierzadko wpadałem w nastrój gniewu, a nawet nienawiści względem tych Niemców, którzy

odrzucają to, co w Polsce jest cenione, a nawet chronione państwowo jako narodowa wartość.

Kiedy ci ludzie mówią o wartościach chrześcijańskich, to nie mają na myśli proklamacji Franciszka.

Miłość do własnego rodu oraz walka ze wszystkim, co próbuje ją zanegować, jest ich chrześcijaństwem. Przeklinają oni i brzydzą się zachodnią śpiewką wychwalającą liberalizm, z jego paradoksalnym, fałszywym postulatem indywidualizmu połączonego z egalitaryzmem. Gdy mówią o Bogu, mają na myśli honor, rodzinę i ojczyznę. To właśnie ta wiara daje im siłę jako narodowi. Wiara, której tak brakuje nam, Niemcom.

Nie chcę tu deklarować, że powinniśmy przyjąć polski katolicyzm aby odkryć na nowo naszą tożsamość. Jednakże naród, który przestaje wierzyć, przestaje też istnieć. Zaś polska religia daje Polakom nadzieję, czyni im dobro i wykuwa między nimi więź.

Niech żyje polska ojczyzna!

Ponad 100 tysięcy ludzi zebrało się 11 listopada 2017 roku przy Rondzie Dmowskiego. Jednak mitycznych huliganów czy wojowników ulicznych raczej nie dostrzegłem. Na placu przeważali zwyczajni ludzie. Młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni. Robotnicy i studenci, dzieci oraz emeryci. Pokrótce, obecne były wszystkie klasy. To cały naród wyszedł na ulice. Nie

tylko jego część. Wszyscy zebrali się w miejscu, które nazwano imieniem wielkiego przywódcy Romana Dmowskiego. Niezależnie od religii, wieku, płci, czy statusu społecznego. Tutaj polski naród był państwem. Bez przerwy skandowano „Bóg, Honor, Ojczyzna”, nieoficjalne hasło rozpoznawcze Polaków. Wyraża on zarówno wiarę, jak i poświęcenie. Nie jest to wyłącznie wiara w Boga. To wiara w naród. To wiara w siebie. Dla mnie jest to przede wszystkim deklaracja dla Europy. Ktoś, kto chce powiedzieć tak dla Europy, musi powiedzieć tak dla Polski, dla Niemiec i dla pozostałych europejskich narodów.

Gdy kolumna ruszyła, próbowałem rzucić okiem na całą sytuację. To było niewiarygodne. Nie mogłem ujrzeć ani początku, ani końca. Byliśmy jak wielka ławica ryb w morzu. Polska nas zaczarowała. Pomimo bliskości geograficznej, społecznie Polska jest nam tak odległa. Rozbiliśmy się w świecie, który my jako Europejczycy zachodni obserwujemy jak odchodzi w cień, umiera. Aż nagle tutaj, świat stał się całkowicie rzeczywisty, żywy. Sami staliśmy się częścią tej rzeczywistości. Rzeczywistości, która w Niemczech wydawałaby się tylko snem. Oczy mojego przyjaciela wypełniły się łzami. Wierzę, że były to łzy radości, napędzane tym wszechobecnym uczuciem nieśmiertelności narodu. To jeden z tych momentów, które chciałoby się mocno przy sobie trzymać.

Nawet gdy po przejściu 5 kilometrów i po kilku godzinach marsz zakończył się, a my znaleźliśmy miejsce dla siebie w ciepłym pubie, wrażenia były wciąż żywe.

Nie zniknęły one aż do naszego wyjazdu w niedzielę, po ostatnim zwiedzeniu historycznych zabytków Warszawy. Odczuliśmy, że musimy opuścić świat, który stał nam się tak drogi pomimo historycznych zaszczości i wrócić do naszego. Przez chwilę czułem, jakbyśmy wyruszali z ciepłego kraju do krainy chłodu. To była podróż między światami.

Apel do niemieckiej Prawicy

Chciałbym zachęcić każdego prawego Niemca, każdego niemieckiego tożsamościowca, aby poszedł za naszym przykładem i odwiedził polski Marsz Niepodległości. W Warszawie, w Krakowie, we Wrocławiu. Nieważne gdzie. Polska to inny świat, który każdy z nas powinien poznać. Polacy to naród, od których możemy się wiele nauczyć. Historyczny balast, który wciąż może obciążać barki wielu Polaków i Niemców, musi zostać zniesiony. Jeżeli cokolwiek nauczyłem się w Polsce, to tego, że Niemcy są tam mile widziani. Jakkolwiek można jeszcze napotkać postawy szowinistyczne względem Niemców, to takie samo podejście można znaleźć w Niemczech względem Polaków. Tak czy inaczej Polacy są bratnim europejskim narodem, z którymi odczuwam większą bliskość aniżeli z zimnym światem zachodnim, który nas otruł. Wolę mieć po swojej

stronie biedną Polskę niż obskurną, bogatą ziemię Zachodu. Migoczący splendor świata w którym żyjemy jest niczym innym jak tylko znoszącą połajanki, skorumpowaną pustką. Lecz na wschodzie nadal żyją ludzie, dla których życie w honorze i godności jest o wiele więcej warte.

Byłem podróżnikiem między światami. Nie chcę już wędrować. Chcę zamienić nasz świat na tamten!

Johan Trichet

Autor jest wieloletnim działaczem JN – Junge Nationaldemokraten oraz redaktorem portalu Gegenstrom.